№ 41 Warszawa, dnia 26 Września (8 Października) roku 1881.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ: Jedna z wielu — Prusacy w Frankfurcie. — Świat nudów. — Korespondencya z Paryża. — Nowe wydawnictwa. — Z kraju i z zagranicy. W Dodatku: Ida Latimer, przez Rodę Broughton. Przekład K. P.

JEDNA Z WIELU.

FANTAZYA.

Napisał

Józef Korwin (Kazimierz Paledzki.)

Pamiętasz orlę młode,
Swe gniazdko porzucone,
Pamiętasz dni minione,
Minionych dni swobodę?...
Pamiętasz gór dolinę —
Źródlanych krynic wodę,
Obłoków tonie sine?...
Pamiętasz orlę młode
W dolinie swoją chatkę,
Owitą w zwój bogaty
Bluszczu — i w zieleń, kwiaty?...
Pamiętasz ojca, matkę?...
Snieżystych wyżyn stropy,
Gdzie wiecznie skrzą się lody,
Pastuszków biedne szopy
I życia ich swobodę,
I nad falami wody
Przyszłości horoskopy,
Pamiętasz orlę młode?...

I.

U stóp śnieżnej gór lawiny,
U stóp chatki mej sokolej,
U stóp szklistej skał rodziny —
Gaj rozkwitał, gaj topoli...
I ze skał chwytałeś szczytu,
Ręką chwiejne liścia wianki;
I wierzchołki splotłe razem —
Muskające pleśń granitu —
Jak umarłej pierś kochanki,
Co śpi wieki zimnym głazem...

Często słowik rozmarzony,
Z nad południa zabłąkany —
Na topolich drzew korony
Zwisał, w liście uplątany...
Zrazu cichy, zrazu senny,
Na gałązkach rozbujały, —
Lecz po chwili już promienny,
Cały w pieśni, w dźwiękach cały...

Ja, zwieszona po nad skałą,
Jako góral gibki, dumny —
I oparta piersią białą —
O zielonej szczyt kolumny —
Milcząc ptaszkam dech łowiła —
W jego oczy zapatrzona,
Choć boleśnie pierś tłoczyła
Często twarda drzew korona...

I poznałyśmy się wzajem,
I ptaszyny śród piosenki —
Gardząc wiotkich dworców gajem, —
Często szły do mojej ręki...

II.

Był wieczór majowy!
W łzach nocy skąpany,
Tlał strop lazurowy,
Jak brylant świetlany
Tysiącem promieni, —
Z ogrodu buchała
Woń kwiatów, zieleni, —
W ogrodzie śpiewała
Piosenkę ptaszyna,
Trelami płynącą,
Jak tęskna dziewczyna,
To senno, to wrząco...
Owiane mgłą, spały
Lodowych gór głowy,
Oddychał świat cały...
Był wieczór majowy!
Był wieczór majowy,
Ja wyszłam na ganek —
Oplatał skroń płowy
Dyadem równianek...
I cisza dokoła,
I mgła zwierciadlana
Kąpała drzew czoła,
I gwiazda świetlana
W bladawych promieniach —
Na ziemię spływała,
I wszystko w półcieniach,
W półblaskach kąpała, —
Jak bukiet różowy
We włosach sułtanek...
Był wieczór majowy,
Ja wyszłam na ganek.

III.

Och, zaświecę
Ja w okienku
I na ganek wrócę,
I tęsknicę
Pomaleńku
Rozśpiewam, roznucę...

Płyń, a ciszej —
Nie tak łzawo,
Kołysanko dum, —
Sza... sza... słyszę
Tam na prawo
Niby tętent, szum...

Tam w gaiku,
Tam w topolim
Słyszę — pęka kwiat, —
Na koniku,
Na sokolim —
Może wraca brat...

O! — a dzwonek! —
Bliżej... bliżej —
O! — a tętent, gwar...
A skowronek
Tony niże
W pieśń, — a w pieśni czar...

A doliną
Kwiaty płaczą
Perlistemi łzy...
Och! — z drużyną, —
Ej — z junaczą
Pewnie wracasz ty.

Szkoda, — ciemno:
Ujrzałabym
Stan z daleka twój, —
Och! — nade mną
Blaskiem słabym
Tylko gwiazd lśni rój!...

IV.

I minęła chwilka mała,
Jam śpiewała, ach! śpiewała,
W uplecionym świeżo wianku
O kochance i kochanku, —
Wciąż weselsze tony brała
I czekała,
Nim brat stanie tuż przy ganku...
I minęła chwilka mała...

V.

Podjechali — ach! —
Ach! — nie brat to — Boże! Boże! —
Krzywe szable, ostre noże, —
To wrogowie, zbójcy może —
A ja stoję w drzwiach! —
A tam w chatce
Siostry małe
Śpią przy matce, —
Takie śmiałe — ! —
Tuż i ojciec siwobrody —
Ale nie tu brat mój młody,
Coby bronił was!
Pocóż wy — ach! — dźwięki,
Dźwięki wy szalone,
Prostej mej piosenki —
W tę zwabiły stronę
Jadących przez las! —

Smutno, straszno — och! —
Och! — palące moje oczy,
I jedwabny splot warkoczy —
I pierś, jakiej nie utoczy
Z alabastru Włoch!...
Wzrok sokoli,
Pierś ta biała
Do niewoli
Mię oddała, —
Wszyscyż inni — krwią zbroczeni —
W kraj odeszli błędnych cieni, —
Zostawili mię!
Próżnom rozszalała,
Niby lwica z klatki, —
Piersi przebić chciała —
I paść obok matki, —
Och! — nie dali — nie! —

Skrępowali — ach! —
Ach! — rodzinna, okwiecona,
Chatko moja podpalona,
W tysiąc ogniów roziskrzona,
Płomieniąca w skrach!
Ogień płynie
Szerzej, dalej —
Po równinie
Kwietnej fali,
Do zielonych kolumn sadu,
Rozchwianego winogradu
I rozpękłych róż; —
W oczach łzy palące,
Aż się mąci w głowie,
U nóg martwo śniące —
Siostry i ojcowie
I... zabójcy — tuż!

VI.

Wielki rynek — skwar... południe...
A na rynku gwarno, ludnie,
A opodal mur sułtana,
A przed murem wod fontanna,
A tam — jak huryssa wrząca —
Harem — z godłem półmiesiąca —
A z haremu lśnią balkonów
Róż werandy i wazonów, —
Tuż kwietniki z wonią, z błyski,
Tuż na kwiatach śnią huryski,
Ale o czem śnią?...
Biedne, biedne —
Krasnolice,
Same jedne —
Niewolnice, —
Spojrz w przymknione wpółźrenice:
One łzami lśnią...

Rynek... struga skier paląca —
Tuż... tuż z godłem półmiesiąca
Namiot stoi... a z namiotu
Wyglądamy, niby lotu
W klatce spragnione orlęta —
Wszystko — młode — ach! — dziewczęta,
Wszystkie piękne, rozżalone,
W branki jak ja uwiezione,
Czarnookie, śniadolice,
Zadunajskich stron dziewice
Naddunajskich gór.
Smutne, biedne,
Pochylone —
Same jedne
Roztęsknione, —
Tam — na północ zapatrzone,
W tuman mglistych chmur...

VII.

I podeszli do namiotu jacyś starcy biali,
Niewolnicy śnadź haremów, i tuż przed na- [miotem —
Długo z właścicielem naszym cicho rozmawiali,—
Migając przed oczy jego roziskrzonem złotem...

Weszli wreszcie w głąb' i krwawy wzrok w nas [utopili, —
Wstać kazali i obnażyć piersi, ręce, lica...
I za każdą z najpiękniejszych złota garść [rzucili —
Śród kupionych i jam była... biedna niewolnica!...

Wziął mię jakiś siwobrody i jednego ranka —
Ukwieciwszy—zaprowadził przed sułtana oczy;—
„Padyszachu! — patrz jak piękna, białolica [branka, —
Jaka twarz, źrenice jakie, jaki splot warkoczy!—
Padyszachu! — oto prośba i mój pokłon nizki:—
Przyjm ją między wonne róże, między twe hu- [ryski."

VIII.

U mych okien trzy topole, —
U topoli trzy kaskady, —
Tuż u kaskad kwietne pole,
Tuż za polem drzew półkole —
Z po za drzew lśni szafir blady,
A z drzew spływa włos zielony —
W włosach ptactwa chór wpleciony.
A u ptaszków lotne skrzydła,
Lekkie, z splotu piórek zwiane, —
Piórka w różne malowidła,
Jak bukiety róż wiośniane, —
A w tych skrzydłach ich swoboda —
A ja?... a ja — w kwietnej klatce, —
Ja — w niewoli taka młoda —
Czemuż nie śród gór mych w chatce?
Do mych okien lazurami —
Wielka gwiazda dnia spływała,
Promieniąca barw tęczami —
Nad mych kwiaty kaskad błękitami —
Moje kwiaty całowała,
W oczy, w lica zaglądała...
I w błękicie mej źrenicy,
W tej brzemiennej łzą krynicy —
Wszystkie gwiazdy wieczorami
Odbijały skier krociami...
W skrach — paliła mię swoboda,
A ja? — w kwietnej klatce — w łzach! —
Ja — w niewoli — taka młoda — !
Taka chciwa lotu — ach!

(D. n.)

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

XXXVI.

Frankfurt dnia 22 lipca 1866 roku.

Gdy się to dzieje, Fryderyk przybył nagle, zawiadamiając że jenerał jego nadjedzie za kilka minut.

Najpiękniejsze w całym domu pokoje przygotowane były dla niego.

Niepodobna wysłowić radości i szczęścia Emmy, gdy zobaczywszy męża rzuciła się w jego objęcia. Wojna prawie się skończyła; mówiono powszechnie o pokoju — tak więc ukochanemu jej Fryderykowi żadne nie groziło już niebezpieczeństwo.

Miłość to egoizm. Zaledwie pomyślała o wejściu Prusaków, o ich zdzierstwach, grabieży i ciężarach nakładanych na miasto, o śmierci pana Fischer'a, ukochany jej mąż wracał cały i zdrów,—w nim zatopiona, zapomniała o świecie.

Fryderyk okazał Helenie żywe współczucie, pochwalił jej postąpienie i zapewnił, iż pomimo obecności Prusaków w ich domu, nic nie zakłóci spokoju Karola jeżli, da Bóg, odzyska siły, lub ostatnich chwil jego, jeżli musi umierać.

Wszedł z Heleną do pokoju rannego, uprzedzonego o jego przybyciu. Karol poznał przyjaciela i uśmiechnął się; chciał ująć dłoń jego, ale nie mógł unieść ręki. Wyszeptał tylko cicho:

— Drogi Fryderyku!... ukochana Heleno!...

Były to pierwsze dwa słowa, które wymówić zdołał. Helena położyła palce na ustach nakazując milczenie; nie chciała żeby się męczył, była zazdrosną o najmniejsze nie do niej wymówione słówko.

Benedykt wziąwszy na bok Fryderyka, opowiedział mu w krótkich słowach w jaki sposób Prusacy postępowali i zachowywali się w mieście. Gdy jenerał Sturm zasiadł do wykwintnie przygotowanego dla niego obiadu, Fryderyk wyszedł rozejrzeć się po mieście.

Dowiedziawszy się, że Senat zebrany był na posiedzenie, wszedł i był obecny przy rozprawach toczących się nad kontrybucyą 25 milionów florenów.

Senat wezwał na to posiedzenie naczelników głównych domów bankowych w Frankfurcie — wszyscy oznajmili jednozgodnie, że niepodobieństwem było zebrać żądaną sumę 25 milionów florenów — Senat uchwalił więc, że nie mogąc w żaden sposób spełnić żądania, zdaje się na łaskę jenerała.

Wyszedłszy z Senatu, Fryderyk zobaczył ustawione działa wycelowane ku miastu, i liczne gromady zbierające się przed porozlepianemi ogłoszeniami.

Na placu stały niby baraki sklecone naprędce, w nich kryły się całe rodziny wygnane z domów swoich przez Prusaków — zdawało się, że to bandy koczujących cyganów. Mężczyźni klęli, kobiety płakały.

Jedna matka głośno przyzywała pomsty Bożej, wskazując swoje dziesięcioletnie dziecko, któremu żołdak pruski przebił rękę bagnetem. Nie wiedząc co robi i nie rozumiejąc znaczenia słów, nieszczęsny chłopczyna szedł za Prusakiem pośpiewując piosenkę ułożoną przeciw Prusakom przez mieszkańców Sachsenhausen:

Warte, Kuckuck, warte,
Bald kommt Bonaparte,
Der wird alles wieder holen,
Was ihr habt bei uns gestohlen.

(Czekaj, kukułko, czekaj, wnet przyjdzie Bonaparte, który przywróci wszystko, coście u nas zniweczyli.)

Rozzłoszczony Prusak, pchnął go bagnetem i ciężko ranił w rękę.

Ale w mieście tak wielki panował przestrach i trwoga, iż nietylko nikt z przechodzących nie łączył głosu swego z głosem nieszczęśliwej matki przyzywającej pomsty Bożej, ale dawano jej nieme znaki aby zamilkła, kryła łzy swoje i krew płynącą z ręki dziecka.

Ale nie wszędzie równie bezkarnie uchodziło Prusakom.

Pewien Prusak, stojący na kwaterze u jakiegoś mieszczanina z Sachsenhausen, w zamiarze zastraszenia gospodarza, wyciągnął szablę z pochwy i położył przed sobą na stole. Ten nic nie mówiąc wstał, wyszedł z pokoju i wróciwszy za kilka minut z ogromnemi żelaznemi widłami, położył je przed sobą.

— Cóż to znów za żart? zapytał Prusak.

— Tak sobie, odrzekł mieszczanin, chciałeś pokazać mi, że masz piękny nóż, a ja pokazuję ci że mam piękny widelec.

Żart ten nie podobał się Pausakowi; chwycił za szablę, mieszczanin za widły i przybił go niemi do ściany.

Przechodząc przed domem Hermanna Mumm, baron zobaczył go siedzącego przed drzwiami jego domu, z głową ukrytą w dłoniach. Dotknął jego ramienia; Mumm podniósł głowę.

— A! to pan, panie baronie, czy także należysz do rabusiów i rozbójników?

— O jakich rozbójnikach pan mówisz?

— O tych co na dom mój napadli. Patrz pan co się stało z drogocennym zbiorem fajansów, który z ojca na syna zbieraliśmy przez trzy pokolenia... wszystko zrabowane lub potłuczone... Piwnica całkiem pusta... Czyż ja i stary mój rachmistrz i para służących, możemy stawić opór dwiestu żołnierzom i piętnastu oficerom, którzy zajęli dom mój samowolnie, bez biletu kwaterunkowego?... Wejdź pan i zobacz co wyrabiają!...

Z wnętrza domu dochodziły krzyki:

— Wina! wina!... albo armatami dom rozsadzimy!...

Fryderyk wszedł.

Śliczne mieszkanie biednego Mumma w istny chlew się zamieniło. Porozlewane wino, słoma i błoto pokryły piękną posadzkę; w żadnem oknie nie było ani jednej całej szyby, wszystkie meble zniszczone, krzesła połamane.

— Ach! panie baronie, mówił nieszczęśny Mumm, patrz w co się obróciły moje słynne okrągłe stoliki!... Na samą myśl, że od trzech pokoleń przy stolikach tych siadali najszanowniejsi mieszkańcy Frankfurtu, król, książęta krwi i posłowie na Sejm — serce mi pęka. Oh! panie baronie! panie baronie! straszne czasy nadeszły... Frankfurt zgubiony!...

Fryderyk nie miał władzy dozwalającej mu położyć kres gwałtom i rabunkowi jakie miał przed oczyma; nie dość na tem, był przekonany, że ani jenerał Sturm, ani jenerał Roeder przeszkadzać im nie będą; znał ich bowiem dobrze. Roeder był okrutnym, Sturm szaleńcem. Należał on do szkoły owych starych pruskich jenerałów, nawykłych nie uznawać żadnych przeszkód, łamać i niweczyć jakiebądź stojące im na drodze. Umieszczając Fryderyka przy jenerale Sturmie, król pruski nie jego polecał jenerałowi, ale jenerała jemu.

Idąc dalej, baron Fryderyk spotkał się z baronem von Schele, jeneralnym dyrektorem poczt. Jak tylko Prusacy weszli do Frankfurtu, przysłali mu rozkaz urządzenia *czarnego gabinetu* w którym wszystkie listy mają być rozpieczętowywane i czytane, dla składania raportów o obywatelach żywiących nieprzyjazne uczucia względem rządu pruskiego.

Baron von Schele odmówił posłuszeństwa; następca jego przybył już z Berlina i tegoż wieczora czarny gabinet zaczynał być czynnym.

Wiedząc że Fryderyk jest nie Prusakiem tylko, ale i Frankfurtczykiem, baron von Schele zawiadomił go o tem, aby i sam miał się na ostrożności i przestrzegł przyjaciół.

Fryderyk przybył do pana Fellnera z sercem przepełnionem boleścią — tu całą rodzinę zastał pogrążoną w rozpaczy. Pan Fellner odebrał właśnie urzędowe zawiadomienie, iż najznaczniejsze domy handlowe i bankierskie odmówiły dostarczenia niemożebnej sumy 25 milionów florenów, zatem Senat odwołuje się do wspaniałomyślności jenerała w imieniu miasta niebędącego w stanie uiszczenia tak olbrzymiej kontrybucyi.

Trzymał właśnie w ręku doręczony papier, i chociaż doskonale wiedział co zawiera, gdyż jako senator uczestniczył w obradach i nakłaniał do odmowy, jednakże odczytywał go machinalnie. Żona stała przy nim wsparta na jego ramieniu; córki płakały. Po tej odmowie obawiano się groźnych następstw.

Ze swej strony zebrało się na posiedzenie Zgromadzenie prawodawcze i postanowiło wysłać deputacyę do króla, z prośbą o uwolnienie od kontrybucyi 25 milionów florenów, nałożonej przez jenerała Manteuffel.

Pan Fellner został zawiadomiony o tem postanowieniu, podczas bytności Fryderyka.

— Ach! zawołał tenże, gdybym mógł choć na dziesięć minut udać się do króla pruskiego!

— A! i czemuż nie miałbyś pan jechać do niego! zawołał Fellner, chwytając tę iskierkę nadziei.

— Niepodobna, kochany panie Fellner, odrzekł Fryderyk; jestem żołnierzem, gdy jenerał wyda rozkaz, muszę pochylić głowę i słuchać. Mogę tylko, o ile mi możność dozwoli, przyłożyć się do kontrybucyi, gdy zniewoleni będziecie ją zapłacić.

Tak więc Fryderyk mógł tylko podzielać boleść Fellnera, ale nie był w stanie jej ulżyć. Gdy pożegnawszy się wyszedł, żona burmistrza wybiegła za nim na schody. Chciała przemówić, łzy głos jej stłumiły; zachwiała się i byłaby upadła, gdyby jej nie podtrzymał ramieniem. Wprowadził ją do małego pokoiku na dole. Tam wyjawiła mu powód łez swoich.

Bojażliwa, jak kochająca kobieta, obawiała się niewypowiedzianie przepowiedni Benedykta, pamiętając, że podobną wypowiedział radzcy Fischerowi przed miesiącem prawie, że było to w jej domu, i wszyscy, a Fischer pierwszy, śmiał się i żartował z tej wróżby, a jednak spełniła się najzupełniej. Śmierć pochwyciła go w przeddzień skończenia lat pięćdziesięciu i przed dwoma dniami właśnie odprowadzono na wieczny spoczynek martwe jego zwłoki.

Biedna kobieta nie śmiała mówić o tem mężowi, ale Fryderykowi powierzyła swoje obawy. Wiedziała, że Benedykt był przyjacielem Fryderyka, i właśnie obecnie znajdował się w Frankfurcie; chciała więc, aby zapytał go czy sam wierzy w swoją przepowiednię, i czy nie byłoby sposobu uniknięcia jej spełnienia.

Fryderyk uspokajał ją jak mógł; dotąd Benedykt nigdy nie wspominał mu o swoim darze proroczym, przyrzekł jednak pomówić z nim o tem. Pani Fellner oznajmiła iż wieczorem odwiedzi Emmę; wtedy Fryderyk powie jej co się dowie od przyjaciela, który nie będzie miał żadnego powodu ukrywać przed nim prawdy.

Wróciwszy do domu, Fryderyk poszedł do swe-

go pokoju i kazał poprosić Benedykta, czuwającego wraz z Heleną przy łożu Karola. Wstał i udał się do oczekującego nań przyjaciela.

Chcąc tak we dnie jak w nocy być zawsze gotowym na rozkazy swego jenerała, kazał urządzić sobie pokój na tem samem piętrze, po drugiej stronie schodów. Uściśnieniem ręki powitał przyjaciela. Widzieli się zaledwie chwilkę podczas bytności Fryderyka w pokoju Heleny, wobec tejże i rannego, i parę słów tylko mogli zamienić z sobą; obecnie nic im nie przeszkadzało do serdecznej poufnej rozmowy. Usiedli obok siebie.

— Kochany Benedykcie, rzekł Fryderyk, tak pragnąłem zobaczyć się i pomówić z tobą. Wówczas gdy spotkaliśmy się przypadkiem, tak śpieszyłeś się iść szukać biednego naszego przyjaciela, iż zabawiłeś ledwie parę minut, — od owej chwili nie miałem sposobności zapewnienia cię o mojej przyjaźni i niewygasłej wdzięczności. Myślą zawsze byłem z tobą. Wiedziałem iż dokazywałeś cudów waleczności pod Langensalza i Aschaffenburgiem, jakoteż że niedostępne szczęście twoje towarzyszyło ci wszędzie, i wyszedłeś cały i zdrów z bitew w których tylu mężnych padło na polu walki...

— Kochany przyjacielu, przerwał śmiejąc się Benedykt, powiedz mi proszę do czego zmierza cała ta przedmowa?

— Jakto przedmowa?

— A tak, bo ludzie tacy jak my, wszystko już powiedzieli jednem serdecznem uściśnieniem dłoni; ty uczyniłeś to w chwili, gdy nie mogąc prawej, podałeś mi lewą rękę... Dlaczegóż dziś nie mówisz wprost co masz mi do powiedzenia?

— Wiesz co, kochany Benedykcie, iż gotów jestem uwierzyć temu co mi mówiono o tobie, to jest iż obdarzony jesteś darem jasnowidzenia.

— Któż ci to powiedział?

— Pewna biedna kobieta dręczona obawą, aby przepowiednia jaką uczyniłeś jej mężowi, nie urzeczywistniła się tak jak wypowiedziana przyjacielowi jego, radzcy Fischerowi.

— A! pani Fellner, rzekł smutnie Benedykt. Biedna kobieta! nie sądziłem, że mąż powtórzy jej co mu powiedziałem.

— Lecz czy jest w tem co prawdy?

— W czem?

— W wypowiedzianej mu przepowiedni.

— Wszystko co mu powiedziałem jest najzupełniejszą prawdą.

— Więc wierzysz w to, że burmistrz skończy gwałtowną śmiercią?

— Tak, przez samobójstwo.

— I wykazałeś nawet rodzaj samobójstwa?

— Tego nie jestem zupełnie pewny — jednak zdaje mi się, że przez powieszenie.

— I nie ma środka uniknienia tak strasznej doli?

— I owszem. Gdy ostatni raz widziałem pana Fellnera, powiedziałem mu, że powinienby opuścić Frankfurt, aby nie mieć udziału w strasznych spełniających się tu wydarzeniach, nie patrzeć na bezprawia i gwałty, których ofiarą padł już pan Fischer i które zapewnie pan Fellner przypłaci życiem.

— Ależ nader smutny dar posiadasz, kochany Benedykcie?

— Wierz mi, że długi czas uważałem to raczej za zabawkę niż za rzecz poważną, ale im więcej oddaję się tym badaniom, tem silniej utwierdzam się w przekonaniu, że chiromancya jest nauką poważną, faktem niezaprzeczonym, jak magnetyzm lub elektryczność. Przepowiedziałem panu] Fischerowi, że umrze gwałtowną śmiercią, i umarł rażony apopleksyą. Przepowiedziałem królowi hanowerskiemu zwycięztwo, i odniósł je pod Langensalza; dalej przepowiedziałem utratę tronu — król pruski zagarnął jego państwo i zapewnie nie odda go dobrowolnie...

— Ale po czemże mogłaś poznać?...

— Co? zwycięztwo pod Langensalza?

— Nie, samobójstwo Fellnera.

— O! to rzecz nader łatwa; nie będę ci powtarzał wszystkiego co pisali o liniach naznaczonych na rękach, filozofowie, doktorzy i chemicy; nie przytoczę nawet ustępów z Buffon'a, Hebert'a, Richerand'a, Klaudyusza, Bernard'a, powiem tylko to jasno i wyraźnie co powiedział Arystoteles: „*Najniezawodniej linie widniejące za rękach ludzkich mają swoje znaczenie, ponieważ są przedewszystkiem wynikiem wpływu nieba i własnej indywidualności człowieka.*” I oto na czem zasadzam mój system. Trzymając się wskazówek chiromancyi, nauczyłem się wiernego o ile mi się zdaje, tłomaczenia znaków, które jeszcze poprawiam i uzupełniam nieustannie. Pokażę ci jaki i w którem miejscu znajduje się znak na ręce pana Fellnera, który każe mi wnosić, że umrze gwałtowną śmiercią. Pokaż mi twoją rękę, Fryderyku.

— Lewą czy prawą?

— Lewą, gdyż linie nieszczęśliwe są najczęściej wyryte na lewej ręce. Wiadomo, że starożytni z lewej strony upatrywali zgubnych przepowiedni. Gwiazdka na wzgórzu Saturna, zapowiada zabójstwo; krzyżyk śmierć na rusztowaniu.. Dajże mi twoją rękę... Jeźli gwiazdka taka zamiast na wzgórzu Saturna, to jest na podstawie średniego palca... znajduje się... na środku pierwszego stawu... Ach!...

Benedykt rzucił się w tył i ręką zasłonił sobie oczy jakby coś wzrok jego raziło.

XXXVII.

Opatrzność.

Fryderyk pozostał z otwartą, wyciągniętą ku niemu ręką.

— Cóż dalej? zapytał.

— Dalej?... nic!... odrzekł, zrywając się i wydzierając sobie garść włosów, poczem tupnąwszy nogą, zawołał z odcieniem rozpaczy w głosie. Nigdy! nigdy już niczyjej ręki nie będę oglądać!

— Ale cóż tak strasznego zobaczyłeś w mojej?

— Cóż znowu!... odrzekł Benedykt zmuszając się do śmiechu, nie w twojej... przecież to w ręce pana Fellnera.

Fryderyk surowo, prawie poważnie spojrzał na niego.

— Nie udawaj śmiechu rzekł, bo nie chodzi ci wcale o rękę pana Fellnera ale o moją; zobaczyłeś na niej jakiś znak złowrogi, i nie chcesz mi tego powiedzieć. Zapominasz, Benedykcie, że jestem mężczyzną, a co więcej żołnierzem nawykłym igrać ze śmiercią — jeźli więc jakie nieszczęście mi grozi, czyż nie lepiej abym był o tem uprzedzony, choćbym nie miał wierzyć w przepowiednię.— Jeźli mnie ma spotkać co złego, niechże mnie nie zaskoczy niespodziewanie.

— Może i masz słuszność, odrzekł Benedykt, ale w ręce twej wyczytałem coś tak niepodobnego, że chyba mi się przywidziało.

— Wiedz o tem, mój drogi, że pod względem nieszczęścia nic na świecie nie jest niepodobnem.

Benedykt zapanował nad sobą, i usiadł znów przy Fryderyku, mówiąc:

— Dajże mi jeszcze rękę.

— Tęż samą?

— Nie, drugą.

Spodziewał się, że w prawej ręce znajdzie znaki osłabiające lub zmieniające znaczenie dostrzeżonych w lewej, zobaczył bowiem na ręce Fryderyka tenże sam znak złowrogi jaki widział na ręce pana Fellnera — to jest gwiazdkę na pierwszym stawie środkowego palca — zapowiedź samobójstwa.

W tej chwili Benedykt tracił prawie wiarę w prawdziwość swej nauki — bo czyż można było przypuszczać aby Fryderyk, mający żonę, którą ubóstwiał, która tak niedawno powiła mu syna, i wreszcie piastujący wyższy stopień w wojsku, świetną rokujący mu przyszłość, mógł choćby pomyśleć o targnięciu się na swoje życie?... A jednak fatalna gwiazdka widniała i na prawej ręce, tylko nie tak wyraźnie.

— Czy nie masz szkła powiększającego, Fryderyku?

Fryderyk podał mu lupę; Benedykt bacznie przyglądał się przez nią prawej i lewej ręce przyjaciela. Poczem położywszy lupę na stole, ujął obie ręce barona,

— Masz słuszność, przyjacielu, powinieneś być uprzedzonym, obowiązkiem moim jest nic nie ukrywać przed tobą; uprzedzam cię jednak, iż gdy ci powiem co czytam w twej ręce, weźmiesz mnie za szaleńca łudzącego się przywidzeniami, i będziesz miał słuszność. Błagam cię ze złożonemi rękami, błagam w imię naszej przyjaźni, w imię twojej żony i dziecka, przyrzecz mi, że posłuchasz mojej rady.

Wypowiedział to tak błagalnym głosem, iż Fryderyk uczuł się silnie wzruszonym.

— Jeźli rada twoja da się pogodzić z obowiązkami służby, przyrzekam zastosować się do niej jak najściślej, bo wiem że pochodzić będzie od dobrego przyjaciela.

— Od najlepszego, najwierniejszego przyjaciela, o tem możesz być przekonanym. Słuchaj Fryderyku, zdaje się to rzeczą niesłychaną, niemożebną, a jednak rzeczywiście na rękach twoich istnieje ten sam znak złowrogi, co na rękach pana Fellnera. Jeźli nauka chiromancyi nie jest czczą marą, niegodnem kłamstwem, to i tobie grozi śmierć z samobójczej ręki.

Fryderyk parsknął śmiechem.

— Tegom się spodziewał, rzekł Benedykt; śmiej się, śmiej, szczęśliwy człowiecze... Lecz czy wierzysz w wiekuisty lazur nieba, w wiekuistą przejrzystość fal strumienia, w wiekuistą czystość powietrza i nigdy niezmienną pogodę?... Otóż, jakkolwiek zdaje ci się to niepodobnem, ja mówię ci iż zagraża ci nagłe niebezpieczeństwo, może bliższe jeszcze niż panu Fellnerowi, i choćby miał uprzedzić...

I zerwał się podbiegając ku drzwiom.

Fryderyk zatrzymał go.

— A! na miłość Boską, tylko ani słówka o tem mojej żonie!... po co niepokoić ją takiemi niedorzecznościami... doprawdy nie darowałbym ci tego.

— Nic nie słucham, odparł Benedykt, muszę cię ocalić, choćbym miał zawezwać pomocy twojej żony.

— Ocal-że mnie bez jej pomocy — cóż mam robić?

— Wyjedź z Frankfurtu, postaraj się o jakąś misyą; wreszcie jedź gdzie chcesz, byleś ztąd odjechał. Doświadczenie uczy, że w takich razach trzeba zmienić miejsce pobytu. Wszak mógłbyś

prosić jenerała Sturma żeby cię wysłał gdziekolwiek; niepotrzebny tu jesteś, wojna skończona, zabierz żonę jeźli chcesz, ale wyjeżdżaj ztąd, wyjeżdżaj koniecznie.

— Więc aby ci dać dowód—nie że wierzę w tę przepowiednię i obawiam się jej spełnienia, ale że cię kocham i cenię przyjaźń twoją, przy pierwszej sposobności zażądam urlopu i wyjadę.

— Tylko nie ociągaj się z tem, odrzekł Benedykt, ujmując obie ręce przyjaciela.

W tejże chwili wszedł żołnierz z oznajmieniem iż jenerał Sturm kazał prosić do siebie Fryderyka.

— A! kochany Fryderyku, może to zrządzenie Opatrzności! zawołał Benedykt.

— Tak... albo może fatalizm, odrzekł Fryderyk.

— Proś o jakąś misyą albo o urlop, wreszcie radź sobie jak chcesz, byleś wyjechał. Zaczekam tu na twój powrót.

Podali sobie dłonie i Fryderyk wyszedł rozmyślając mimowolnie o przepowiedni Benedykta.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

(Dalszy ciąg.)

AKT III.

(Wielki salon cieplarni, oświetlony gazem, fontanna, meble, krzesła, krzaki i kwiaty, za któremi łatwo się schować.)

Scena pierwsza.

KSIĘŻNA, PANI de CÉRAN.

(Wchodzą głębią z prawej strony, wahają się, oglądają naprzód i mówią cichym głosem.)

Księżna. Nikogo?

Pani de Céran.

Księżna. Dobrze. (Podchodzi naprzód i zatrzymując się mówi.) Trzy migreny!

Pani de Céran. Jednakże to jest rzecz niesłychana, że jestem zmuszoną pozostawić w ten sposób mojego poetę...

Księżna. To i cóż? ten twój poeta czyta swoje wiersze, bo trzeba ci wiedzieć, że poeta, jeżeli mu tylko dać czytać własne wiersze...

Pani de Céran. Ale gwałtowność Rogera przestraszyła mnie. Nigdym go takim jeszcze nie widziała. Co tam robisz, księżno?

Księżna. Wszak widzisz, zatrzymuję wytrysk wody.

Pani de Céran.. Poco?

Księżna. Ażeby lepiej słyszeć, moja kochana.

Pani de Céran. On jest w ogrodzie, nie wiem gdzie... śledzi ją, czatuje na nią... Co się stać może! Ah! nieszczęsna mała! Cóż to, księżno, gasisz światło?

Księżna. Nie, tylko przyciemniam gaz.

Pani de Céran. Ale poco?

Księżna. Ażeby lepiej widzieć, moja kochana.

Pani de Céran. Ażeby?...

Księżna. Naturalnie... im bardziej będziemy niewidzialne, tem lepiej widzieć będziemy... Trzy migreny... i jedna tylko schadzka! czy ty co z tego rozumiesz?

Pani de Céran. Czego ja nie rozumiem, to że pan Bellac...

Księżna. A ja, że Zuzanna...

Pani de Céran. O! co do niej!...

Księżna. Co do niej? Zaraz się przekonamy. Mogą już teraz nadejść, wszystko przygotowane.

Pani de Céran. Jeżeli ich Roger tu zastanie... razem, — gotów jest...

Księżna. Ba! trzeba naprzód widzieć... trzeba widzieć koniecznie.

Pani de Céran. Ale, bo...

Księżna. Sza! czy słyszysz?

Pani de Céran. Słyszę.

Księżna (popychając panią de Céran ku klombom na prawo, na pierwszym planie.) Czas był wielki; chodź!

Pani de Céran. Jakto? Chcesz księżno podsłuchiwać?

Księżna (schowana). Rzecz prosta, że chcąc coś usłyszeć, nie ma dotąd na to innego środka, prawda?... Oto w tym tu kąciku, będzie nam dobrze jak królom w bajce, wyjdziemy gdy się okaże potrzeba, bądź spokojną. Ktoś wszedł?

Pani de Céran (schowana i patrząc przez gałęzie). Tak.

Księżna. Któż z dwojga?

Pani de Céran. To ona...

Księżna. Zuzanna?

Pani de Céran. Tak. (Ze zdziwieniem.) Nie.

Księżna. Jakto nie?

Pani de Céran. Nie — nie jest dekoltowana. Jakaś inna.

Księżna. Inna? Kto taki?

Pani de Céran. Nie mogę poznać.

Joanna. Chodźżeż, Pawełku!

Pani de Céran. Podprefektowa.

Księżna. I ta.

Scena druga.

KSIĘŻNA, PANI de CÉRAN schowane na pierwszym planie; JOANNA później PAWEŁ.

Joanna. Cóż ty tam robisz przy drzwiach?

Paweł (w kulisie na prawo). Roztropność była matką bezpieczeństwa, a ja staram się nas oboje zabezpieczyć.

Joanna. W jaki sposób?

Paweł. W taki... (Drzwi skrzypią.)

Joanna (przestraszona). Co robisz?

Paweł (wchodząc). Doskonale mi się udało.

Joanna. Cóż znowu?

Paweł. Widzisz, to sobie taki fałszywy alarm mojego pomysłu... kładzie się kawałek drzewa w zawiasy od drzwi... i w ten sposób gdy kto, nie mówię tak zakochany jak my, bo jest to w tym tu przybytku nieprawdopodobne, — ale gdy jaki uciekinier z tragedyi, będzie się chciał schronić w tę stronę... wtedy nie ma niebezpieczeństwa. Otwiera drzwi a drzwi skrzypią straszliwie; a my w nogi z drugiej strony... Cóż ty na to?... dobrze skombinowane? Bo trzeba ci wiedzieć, że my, tak zwan mężowie stanu... Lecz teraz łaskawa pani, skoro jesteśmy zdala od ciekawych spojrzeń, zrzucam z siebie szatę męża publicznego, staję się mężem prywatnym i puszczając folgę uczuciom zbyt długo powstrzymywanym, pozwalam ci mówić do mnie: ty.

Joanna. Nareszcie w tem miejscu, jesteś jak się należy.

Paweł. Jestem jak się należy w tem miejscu, bo jestem w tem miejscu spokojny, ale całować się po korytarzach jak dopiero co, no, wiesz przecie?.. kiedyś przyszła pomagać mi w rozpakowaniu kufra...

Księżna (na str.). Więc to byli oni!

Paweł. Albo jak dziś wieczór w ogrodzie.

Księżna (na str.). I tam oni.

Paweł. Nigdy już więcej w ten sam sposób! Zanadto nieroztropnie jak na ten dom szanowny... co, prawda? A co za dom! — czym cię zwiódł, co? Toż potrzeba dopiero mieć ochotę zostania prefektem, ażeby przyjść tu i zanudzać się w podobnego rodzaju ziewnikach.

Pani de Céran. Co on mówi?

Księżna (do pani de Céran). Słuchaj tego z całą uwagą.

Joanna (sadzając go obok siebie). Siądź-że tu...

Paweł (siada, wstaje i chodzi poruszony). Nie, co to za dom! A jego właściciele, a goście, a cały ten świat! A pani Arriego, a poeta! a margrabina! a ta angielka z bryły lodu, i ten Roger z drzewa. Jedyną tylko, która ma zdrowy sens w głowie, jest księżna.

Księżna (do pani de Céran). To dla mnie!

Paweł. Ale ta reszta!

Księżna. To dla ciebie!

Joanna. Siadajżeż tu przy mnie!

Paweł (siada i znowu wstaje, gra ta sama). A czytanie, a literatura, a kandydatura! ta kandydatura po Rewelu! Stary figlarz, wyobraź sobie, który umiera... co wieczór, a zmartwychwstaje co rano i zaraz otrzymuje nową posadę. (Idzie ażeby usiąść i znowu wstaje.) A Saint-Réault! Ah, ten Saint-Réault! i jego Rama-Rawany i wszystkie awantury buddystyczne!

Pani de Céran (z oburzeniem). O!

Księżna (śmiejąc się). Bardzo zabawny!

Paweł. A ten drugi, ten Bellac damski, ze swą miłością platoniczną!

Joanna. (spuszczając oczy). Jakiż on głupi!

Paweł (siadając). Tak ci się zdaje? (powstając z wściekłością), ta tragedya! ta przeklęta tragedya!

Joanna. Pawełku co ci takiego?

Paweł. Albo ten stary Filip-August ze swoim ładnym wierszem! Któż do tysiąc dyabłów nie bazgrze ładnych wierszy!... Czyż dla tego zaraz trzeba je czytać?... I ja ich dosyć nabazgrałem.

Joanna. Ty?

Paweł. Ja, rzecz prosta. Kiedy byłem jeszcze studentem, a dotego gołym jak ruda mysz, tom nawet wiersze sprzedawał.

Joanna. Księgarzowi?

Paweł. Nie — Dentyście. Plombejada czyli sztuka plombowania zębów; poemat w trzystu frankach... to jest w trzystu wierszach. Posłuchajno tylko tego.

Joanna. Nie chcę...

Paweł. Muzo! wśród tych cierpień, co jawnie [lub skrycie,
Z woli gniewnych niebiosów trują ludziom życie,
Jest jedno, postrach smaku i wróg etykiety,
Bowiem jego siedliskiem usta są — niestety!

Joanna (chcąc go zatrzymać). Dajże już pokój Pawełku!

Paweł. Ach! człeku co piekielne cierpisz wów- [czas męki,
Rozkoszą się wydaje wyrwać ząb ze szczęki,
Szaleńcze! nie rwij zęba, chociaż sam wypada,
Wylecz, usuń chorobę — oto moja rada,
Bo później, zręczny człowiek co złotem z dukata,
Dziurę twojego zęba troskliwie załata,
Zachowa ci na długo, w tyle czy na przedzie,
Ząb, ozdobę uśmiechu, pomoc przy obiedzie.

Księżna (śmiejąc się). Bardzo, bardzo zabawny!

Joanna. Jaki z ciebie ulicznik i ktoby to pomyślał widząc cię w salonie? (Naśladując go.) „Panie senatorze... prąd demokratyczny... traktaty z roku 1815...” Ha, ha, ha!

Paweł. A ty niby lepsza ode mnie... Tobie się to pysznie udaje z gospodynią domu.

Pani de Céran. Co, co?

Paweł. Powinszować ci!

Joanna. Przecież to tylko czynię coś mi czynić zalecił.

Paweł (naśladując ją). „To tylko czynię coś mi czynić zalecił”. Ach ty mała świętoszko ze swoim srebrnym głosikiem, — to ty się nie boisz Boga ażeby tak niemiłosiernie pakować w tę hrabinę Jouberta, i łacinę, i Tocquevilla i autorów swojej własnej kompozycyi.

Pani de Céran. Autorów jej kompozycyi?

Księżna. To godzi mnie z nią zupełnie.

Joanna. Nie czuję żadnych wyrzutów... Kobieta która nas umieszcza na dwóch końcach przeciwnych domu!

Pani de Céran (podnosząc się). Gdybym ją poprosiła żeby z domu tego wyszła!

Księżna. Siedź-że spokojnie!

Joanna. Ręczę ci, że ona zrobiła nam na złość umyślnie... Tak... jestem tego pewną, bo przecie każda kobieta wie dobrze, nieprawdaż, że nowo zaślubieni... mają sobie zawsze coś do powiedzenia.

Paweł (czule). Zawsze.

Joanna. Prawda że zawsze?...

Paweł. Jaki ty masz ładny głosik! Słuchałem go przed chwilą rozprawiając o traktatach z roku 1815. Słodziutki, łagodniutki, ogarniający duszę... Ach, bo głos jest muzyką serca, jak mówi pan de Tocqueville.

Joanna. Pawełku!... ja nie chcę ażebyś się śmiał z rzeczy poważnych.

Paweł. Pozwól-że mi trochę być wesołym, tak mi teraz dobrze! Miły Boże jak mi wszystko jedno w tej chwili, czy jestem prefektem w Carcassone czy nie!

Joanna. Mnie, mości panie, zawsze to było wszystko jedno. W tem różnica między nami.

Paweł. Kochana moja kobiecinko! (Całuję ją po rękach.)

Pani de Céran. Co za nieprzyzwoitość!

Księżna. Ja bo tego nie nienawidzę bynajmniej.

Paweł. Przypomnij-no sobie że mam zaległości nie licząc zaliczek, które mi się z prawa należą. Kiedyż się wreszcie wyswobodzimy? Ach, droga Joasiu, ty nie wiesz jak ja cię uwielbiam!

Joanna. Wiem... sądząc po sobie!

Paweł. Moja śliczniuchna Joasiu!

Joanna. Paweleczku! mów mi tak zawsze, a teraz powtórz jeszcze...

Paweł (obejmując ją wpół). Zawsze, zawsze!

Pani de Céran. Ależ, księżno!

Księżna. Przecież są po ślubie!

(Drzwi skrzypią, Paweł i Joanna zrywają się przestraszeni.)

Paweł i Joanna. A tam co?

Joanna. Ktoś idzie.

Paweł. Uciekajmy, jak mówią w tragedyach.

Joanna. Szybko, szybko!

Paweł. A widzisz! jak się przydał mój środek ostróżności.

Joanna. Tak przykro! jaka szkoda! (Uciekają na lewo.)

Pani de Céran (przechodząc na lewo). To słusznie, że ich spłoszyli.

Księżna (idąc za nią). Na honor, ja tego żałuję — tak, ale teraz skończyło się ze śmiechem.

(D. c. n.)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Października 1881.

Pierwsze sprawozdanie nasze z nowości jesiennych poświęcamy głównie kapeluszom i ciepłym okrywkom. Wielki zbiór tak jednych jak drugich, widzieliśmy właśnie w tych dniach, dzięki uprzejmości pań Kuhnke. Nim Warszawa ujrzy te nowości, dla niej przeznaczone, powiemy tu o nich słów kilka.

Kapelusze zimowe wogólności odznaczają się wielkim rozmiarem. U jednych rondo zachodzi na oczy, u drugich do góry podniesione; jedne wiążą się pod brodą szarfami z wstążki morowej, z atłasowym spodem, u innych szarfy przewiązane w tyle głowy, wybiegają z pod karczka. Strojne kapelusze do teatru, znacznie mniejsze, mają zwykle szarfy z czarnej błądyny hiszpańskiej. Widzimy też okrągłe toczki z nafałdowanego aksamitu. Do ubrania służą tak strusie jak i kapłonie pióra, lub skrzydła egzotycznych ptaków, mieniące się różnemi kolorami. Strojne kapelusze zdobią pękiem róż lub maków atłasowych, z liśćmi atłasowemi w rozmaitych barwach. Złote i dżetowe ozdoby, niemniej też używane. Po tych ogólnych uwagach przystępujemy do szczegółowego opisu.

Kapelusz aksamitny czarny, zwany *Bolero*, ma wielkie rondo, podniesione w górę, nafałdowane tak z wierzchu jak pod spodem. Główka średniej wielkości, objęta wkoło przeplataną wstążką morową. Z jednej strony, nieco ku tyłowi, wpięty pęk piór strusich, w kolorach: czarnym i złotym *(viel-or)*, z drugiej strony ogromna szpilka złota.

Drugi aksamitny czarny, ma także rondo wielkie nafałdowane. Z jednego boku przechodzi dwa razy czarna koronka naszywana pawiemi piórkami, z drugiego boku wielki bukiet z różnokolorowych róż atłasowych. W pośrodku piękny motyl złoty. Szarfy ze wstążki morowej, przewiązane w tyle na węzeł.

Trzeci kapelusz kastorowy czarny, brzegiem ronda obszyty futerkiem. Wkoło główki przeciągnięta wstążka aksamitna, ze spodu atłasowa. Takież szarfy służą do związania pod brodą. Nad rondem pęk piór strusich czarnych, rozchodzi się na obie strony, w pośrodku nich pięknie odbija egretka koloru *caroubier*.

Czwarta kapotka aksamitna czarna, ma rondo marszczone, przepinane paciorkami dżetowemi. Główkę otaczają dwa długie pióra strusie, denko przykryte bukietem róż z atłasowemi liśćmi. Szarfy morowe dopełniają ubrania.

Piąty toczek aksamitny czarny; nad czołem zdobi go plisa z nakrapianego pluszu w rodzaju futerka. W pośrodku wpięte dwa wielkie złote pająki; z boku skrzydło mieniące się w rozmaitych kolorach.

Szósty toczek kastorowy w kolorze ciemno brązowym *loutre*, objęty szeroką plisą aksamitną. Z tyłu głowy spadają pukle aksamitne, przytwierdzone złotym motylem. Powyżej czoła, wpięte dwa skrzydła w kolorach oliwkowym, błękitnym i *caroubier*, rozchodzą się na obie strony.

Siódmy kapelusz kastorowy, *Niniche*, spuszczony na oczy, ma brzeg objęty futerkiem. Główkę opasaną pluszem w morowy deseń. Z boku wpięty płasko ptak z pąsową główką i nakrapianemi skrzydełkami.

Wpośród okrywek jesiennych, na szczególną uwagę zasługują długie płaszczyki zwane *douliettes* lub *douairieres*. Strojniejsze z materyi czarnej, przerabianej w takiż deseń, lub z tkaniny wełnianej w jedwabne kwiaty, mają garnirunek z pluszu, wydry, lub frendzli marabutowej. Skromniejsze z kaszmiru indyjskiego, obszyte aksamitem lub futerkiem. Płaszczyki te przymarszczane są raz nad razem, tak u szyi, jak na plecach poniżej stanu. Na tem ostatniem przemarszczeniu wpięta wielka kokarda. Tylny bryt, od dołu rozcięty na łokieć wysoko, z obu stron rozcięcia dany takiż sam garnirunek, jaki otacza cały płaszczyk. Rękawy przymarszczane, zachodzą od łokcia do ręki jak u zwykłych wizytek. Do tego dodaje się manszonik z takiegoż samego materyału, przystrojony odpowiednio, zawieszony u szyi, na jedwabnym sznurze lub w-tążeczce morowej.

Uważaliśmy także paletoty z gładkich ciepłych materyałów, spięte na wielkie guziki, obszyte pluszem albo czarnym futerkiem.

O sukniach nabytych na model przez panie Kuhnke, wiele mielibyśmy do powiedzenia. Uderzyły nas szczególniej w oko śliczne dwie suknie przeznaczone na wyprawę dla panny G... Zostawiamy ich opis do przyszłego sprawozdania, a dziś musimy poprzestać na ogólnych uwagach. Kostiumy jesienne wyrabiają z kaszmiru bądź zwyczajnego, bądź też indyjskiego, lub z tkaniny zwanej *voile foulé*, podobnej do wigonni, nadzwyczaj miękiej i układnej. Zdobią je pluszem, atłasem, morą, lub aksamitem, tegoż samego koloru, niektóre oprócz tego futrem z pasmanteryą. Kolory najmodniejsze: oliwkowy, brązowy czyli wydrowy, cedrowy, myrtowy, śliwkowy, szafirowy w różnych odcieniach, szczególniej marynarski (*bleu marin*). Na strojne suknie używane wszystkie odcienia pąsowego: ognisty, koralowy, bażantowy, *caroubier*, jak niemniej różne odcienia różowego, pawiego i złotego (*viel or*). W niektórych sukniach mieszają się fantastycznie kolory, jak naprzykład niebieski z lilla różowawym, pawi ze złotym lub ciemno pąsowym, błękitny z cedrowym lub myrtowym, śliwkowy ze złotym, szafirowy z bażantowym.

Strojne suknie ubierają koronką, frendzlą z dżetem, piórami i pasmenteryą. Szarfy, to jest wielkie kokardy spadające w tyle, niezbędne do strojniejszych sukien. Pod spód idą turniury, odsadzone z tyłu, przód sukni zato płaski i obcisły. Kostiumy wizytowe mają spódniczkę krótką, sięgającą zaledwie ziemi; powłoki przyjęte wyłącznie do bardzo strojnych sukien. Przy wizytowych kostiumach widzimy takież same mufki, przybrane wstążką, koronką albo jedwabnym sznurem.

Piękny dobór kołnierzyków, krawatek, kokard do szyi, odznacza się tak wytwornym gustem jak rozmaitością. Oto kilka ślicznych modeli.

Wielki kołnierz: koronka w rodzaju maliny, odwinięta płasko, na podwleczeniu z pluszu błękitnego; z przodu spada rzęsisto namarszczona koronka, przepięta pękiem pukielków z wąskiej wstążeczki morowej w błękitnym kolorze.

Fryzka z walensienki w nowym rodzaju. Podwójny garnirunek, przepinany wąziuchną wstążeczką białą, obrócony do szyi; trzeci garnirunek, bez wstążeczki, spada na stanik. Ta fryzka wią-

że się z tyłu na wstążeczkę; przód u niej znacznie zwężony.

Długa krawatka z muślinu indyjskiego, szeroka na pół łokcia, u szyi zaprasowana wązko; końce przeszywane ukośnie wstawką walensienową, wkoło stosowny garnirunek.

Wszelkie kokardy do szyi z koronki malinowej pomieszanej z batystem jedwabnym. Niektóre z nich bardzo długie, pokrywają cały przód stanika.

Do mniejszego ubrania, wielkie kołnierze marynarskie z płótna i półbatystu obszyte gładko koronką. Mankiety do tego odpowiednie, kładą się z wierzchu na rękaw.

Panie Kuhnke przysposobiły na zimę znaczny zapas koronek w nowym rodzaju, szczególniej malin i walensienek. Uważaliśmy też prześliczny dobór kwiatów, do ubrania głowy i sukien. Wśród tych odznaczają się wielkie róże, ogromne maki, gwoździki, irysy, bratki i t. p.

Powiedzmy nakoniec słówko o pięknych ubiorkach na głowę i negliżowych czepeczkach. Od lat kilkunastu ubiorki te całkiem były zaniedbane, lub służyły dla osób podeszłego wieku; łatwo to było wytłomaczyć, pyramidalnym rozmiarem fryzur. Dziś tymczasem, przy skromnym układzie włosów, stroiki i czepeczki coraz się bardziej upowszechniają. Dajemy tu opis kilku ślicznych modeli.

Ubiorek czarny z blądyny hiszpańskiej, zwanej *Vendado*. Główka w rodzaju kapturka, długie końce spadają na plecy. Nad czołem warkocz aksamitny, przytwierdzony z boku wielką broszą dżetową.

Fanszon z czarnej blądyny: nad czołem dyadem z dżetu pomieszany z blądyną; szarfy obrócone do tyłu głowy.

Ubiorek z białej koronki malinowej. Nad czołem wielkie maki w kolorze ognistym, z liśćmi atłasowemi oliwkowej barwy. Wstążka jasno oliwkowa spada w tyle na warkocz.

Czepeczek malinowy: z jednej strony spadają pukle z wstążki atłasowej w śmietankowym odcieniu; z drugiej wpięta róża karmazynowa.

Inny czepeczek rzęsisto nagarnirowany koronką, karczek nizko spuszczony, nad nim bukiecik z drobnych kwiatków z atłasowemi liśćmi.

Śliczny czepeczek negliżowy, główka okrągła z pluszu jasno błękitnego. Nagarnirowana wkoło malina, tworzy z tyłu dość długi karczek, przystrojony pukielkami z wązkiej wstążki morowej.

Inne znów negliżyki, z muślinu indyjskiego i koronki, przystrojone całe wstążeczką morową lub atłasową, w kolorach blado różowym, błękitnym lub złotym, spadającą w drobne pukielki. Koronka używana tak na czepeczki jak na kołnierzyki, ma zawsze odcień śmietankowy.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

+ W N-rze 266 „Kuryera Porannego" pan Jeleński zaznaczywszy, że są trzy gatunki pasożyta utrzymującego się głównie kosztem klas pracujących: lichwiarz, przekupień i szynkarz, wskazuje że z lichwą zbawiennie walczyć będą organizujące się „kasy pożyczkowe", zaś przeciw przekupniom i szynkarzom oddziaływać powinny — „gospody chrześciańskie." Pierwsza taka gospoda założona została w Warszawie, przy ulicy Łuckiej, a dzięki staraniom ludzi dobrej woli, gospody takie mają powstać i w innych dzielnicach miasta. Będą one dostarczać gościom kawy, herbaty i różnego jadła a co więcej, artykułów surowych, stanowiących codzienne pożywienie uboższej ludności, a nadto nie zapominając o umysłowych potrzebach odwiedzających, utrzymywać będę po parę pism odpowiednich. Zdaje nam się, że w miarę rozwoju, gospody takie mogłyby jeszcze urządzać małe czytelnie złożone z odpowiednio wybranych książek, i te za małą opłatą wypożyczać gościom swoim do domu. Aby zrozumieć czem stać się mogą w przyszłości *uczciwie prowadzone* Gospody Chrześciańskie, należy zastanowić się czem są dziś szynki, rozmnażające się przerażająco po wszystkich dzielnicach i zaułkach Warszawy.

A przecież czy można sprawiedliwie rzucić kamieniem na tę ludność, która ciężko zapracowanym groszem utrzymuje te otchłanie zepsucia? Nie! gdyż byłoby to i niesłusznie i nielogicznie. Robotnik idzie do szynku bo i on przecież jest przedewszystkiem *istotą towarzyską*, i on musi mieć jakiś punkt zetknięcia się z ludźmi, jakieś miejsce wytchnienia i rozrywki po pracy. Do tej chwili miejscem takiem były jedynie szynki, odtąd stać się niemi mogą *gospody chrześciańskie*. Robotnik znajdzie w nich czego szukać musi jako istota towarzyska, a uchroni się od wyzyskiwania prowadzącego do ruiny, niedoli i zepsucia. Sama czyściejsza atmosfera Gospody musi oddziaływać zbawiennie na usposobienie swych gości; pod wpływem umysłowej rozrywki i spokojnej wymiany myśli, mogą się wyradzać szlachetniejsze instynkta, uczucia i pojęcia.

Drugą korzyścią, jaką zapewniają uboższej klasie ludności Gospody Chrześciańskie, jest dostarczanie najpotrzebniejszych artykułów żywności, a tem samem ochronienie od wyzyskiwania przekupniów. Nabywając je cząstkowo w sklepikach, robotnik dostaje towar w lichym gatunku, nie może sprawdzić rzeczywistej ceny i wagi, a tak znaczną część zarobku najbiedniejszej klasy, pochłaniają najczęściej nieprawe i nieuczciwe zyski przekupniów. Jeźli więc Gospody Chrześciańskie otrzymywać będą artykuły spożywcze z pierwszej ręki i w dobrych gatunkach, a sprzedawać taniej niż w żydowskich sklepikach, i według rzetelnej miary i wagi, to już samo współzawodnictwo z nieuczciwem przekupniarstwem dozwoli im nader ważne oddawać usługi konsumentom.

Wszystko tu przeważnie zależeć będzie od poparcia Gospód przez kierowników fabryk i właścicieli warsztatów, którzy powinni żywem słowem wpływać na swoich pracowników a zwłaszcza młodzież rzemieślniczą, aby zamiast wstrętnych szynków odwiedzali Gospody i w nich szukali wytchnienia po całotygodniowej pracy.

+ W tych dniach wyszły w Czechach dwie książeczki, wydane z okoliczności tegorocznego zjazdu lekarzy i przyrodników w Krakowie. Pierwsza p. n. „Trzeti sjezd polskych lekarzóv a przirodozpytców v Krakowie" 1881 roku, przez Karola Chodounskiego; jest to odbitka z „Czasopisu lekarzów czeskych". Druga książeczka nosi tytuł: „Vyjevy bratrstvi przi slavnem uvitani a pohostieni Czechóv v Krakovie", nakładem księgarza Szimaczka.

W „Svetozorze", piśmie illustrowanem czeskiem, wychodzącem w Pradze, w N-rze 37 zamieszczono portret Mickiewicza, oraz rysunek Andriollego przedstawiający niesmiertelnego Adama wraz z A. E. Odyńcem na Wezuwiuszu. Odpowiedni do tych rysunków artykuł napisała Eliza Krasnohorska, znana poetka czeska, która przełożyła na język czeski wiele utworów Mickiewicza.

+ Pomysłowi Amerykanie projektują urządzenie drogi podwodnej, mającej po pod Atlantykiem połączyć Europę i Amerykę. Kopanie tunelu byłoby niesłychanie kosztownem i nadzwyczaj długiego wymagałoby czasu; ma być przeto zastąpiony zapuszczoną na dno oceanu rurą żelazną, mającą 5600 kilometrów długości, a 8 metrów w przecięciu. Ściany tej rury mieć mają 50 centymetrów grubości, co jest niezbędnem aby rura mogła na tej głębokości wytrzymać ciśnienie około 200 atmosfer. Cała rura ma być rozdzieloną na części po 50 metrów długości. Najtrudniejszem będzie zapuszczanie rur na dno oceanu; ma być dokonane w następujący sposób. Będą opuszczać na dno po pięć rur złączonych razem, obok końca zapuszczonych poprzednio; rury te zamknięte będą hermetycznie, można jednak będzie otworzyć je z zewnątrz i połączyć z poprzedniemi. W ten sposób układane mają być rury aż do wybrzeży Irlandyi. Podczas zakładania rur, liczni robotnicy będą wewnątrz układać szyny, zaciągać druty telegraficzne i urządzać aparaty dla wentylacyi i oświetlenia elektrycznego. Edisson, przyjmujący udział w tem olbrzymiem przedsięwzięciu, zapewnia, że za pomocą lokomotyw elektrycznych, pociągi będą w stanie przebywać całą tę przestrzeń w przeciągu 50 godzin. Koszta całej budowy tej drogi, nie mają przechodzić 4 miliardów Franków.

+ Centralne Towarzystwo drogi żelaznej Oceanu Spokojnego zbudowało największy na świecie statek, przeznaczony do przewożenia całego odrazu pociągu, tam gdzie niepodobna zbudować mostu. Pokład statku na 129 metrów długości a 35 szerokości; średnica kół skrzydlatych, po 9 metrów. Dwie maszyny parowe, każda po 2000 koni, wprawiają w ruch tego wodnego olbrzyma, na którym można pomieścić jednorazowo lokomotywę z 48 wagonami towarowemi i z 24 wagonami pasażerskiemi, które są w Ameryce daleko większe od europejskich.

+ Zamieszkały w Ameryce Szwajcar, Juvet, wynalazł nowy przyrząd naukowy a mianowicie zegar geograficzny, składający się z globusu zawierającego mechanizm zegarowy, przyczem sam globus obraca się na około swej osi wciągu 24 godzin. Jest on sporządzony z pewnej kompozycyi metalu i przymocowany do postumentu z bronzu, w położeniu pochyłem. W jednym z biegunów ziemi mieści się mechanizm, drugi, północny, jest zaopatrzony w szklany cyferblat. Równik okrążony jest obręczą metalową, na której oznaczone są godziny dnia i nocy, i która tym sposobem służy za cyferblat dla ziemi. Jeźli przeprowadzimy linię prostą od jednego z biegunów do równika, wówczas dokładnie będziem mogli określić czas danej miejscowości i dowiemy się zarazem gdzie poranek, dzień, wieczór i noc. Globus pokazuje nader wyraźnie obroty ziemi, jej położenie w stosunku do słońca i t. d.

+ Kule elektryczne. Przy wyładowywaniu się elektryczności z chmury błyskawica przybiera kształt albo gzygzaku, albo drżącego szeroko rozlewającego się światła, albo wreszcie, najrzadziej, tak, że niektórzy wierzyć temu nie chcą, kształt kuli jaśniejącej, spadającej powoli, ze zboczeniami horyzontalnemi, na ziemię i zrządzający prawie zawsze znaczne szkody i nieszczęścia. Są to tak zwane kule elektryczne. Uczeni do ostatnich czasów umieli odtworzyć w machinie elektrycznej tylko pierwsze dwa rodzaje błyskawicy. Bardzo niedawno temu dopiero, Gaston Planté potrafił wywo-

łać i iskrę trzeciego rodzaju, za pomocą machiny z 800 elementów z kandesatorami, w której izolatorem jest cienka tabliczka z łupku (miki) z kilku szparami lub też w jednem miejscu cieńsza niż w innych. Tok elektryczny przebija ją wtedy w tem miejscu. Iskra ztąd powstająca i dłużej od innego rodzaju trwająca, ma kształt kulki, której towarzyszy szmer charakterystyczny. Porusza się on powoli po blaszce cynowej i zostawia na jej powierzchni głęboką brózdę. Na zasadzie tego doświadczenia Gaston Planté tak objaśnia zjawisko kul elektrycznych: Kiedy chmura piorunowa, naładowana wielką ilością elektryczności, przechodzi nizko, niedaleko od powierzchni ziemi, tworzy ona słup wilgotnego, silnie naelektryzowanego powietrza. Ten słup służy elektrodem, przez który elektryczność przechodzi w formie kuli ognistej. Ponieważ słup ten wskutek naporu wiatru posuwa się, więc i kula elektyczna porusza się nietylko w kierunku pionowym, lecz i w poziomym.

+ *Równouprawnienie języka czeskiego w sądach.* Pewny adwokał podał do sądu okręgowego w Jirkowie w Czechach prośbę po czesku, którą mu sąd bez odpowiedzi zwrócił, twierdząc, że w tamtejszej okolicy mieszkańcy mówią tylko po niemiecku. Adwokat odwołał się do wyższego sądu ziemskiego i uzyskał z jego strony wyjaśnienie, że podanie było odrzucone nieprawnie, że w Królestwie Czeskiem język czeski zarówno z niemieckim uważany być winien za język krajowy, że zatem sąd okręgowy w Jirkowie przyjąć i uwzględnić podaną prośbę powinien. Wyjaśnienie to jest podpisane przez adjunkta okręgowego pana Adam'a, który doskonale mówi i pisze po czesku.

NOWE WYDAWNICTWA.

Kalendarz litewski. Jeden z pierwszych, a bodaj czy nie najpierwszy z pośród mnogich swoich kolegów, ukazał się „Kalendarz litewski" na rok 1882, nakładem E. Orzeszkowej i spółki w Wilnie. Rok pierwszy. W części kalendarzowej każdy miesiąc zdobi winietka z widoczkiem Wilna. Część literacka odznacza się doborem artykułów; mieści ona między innemi: „Nie znamy co mamy, aż postradamy", obrazek przez Waleryę Marrené; „Preludium" i „Na bok ceregiele", wiersze satyryczne M. Rodocia; „Nieugiętość Zasad", satyrę A. Żeleźniaka. „Z dziejów piśmiennictwa naszego — „Świtanie" przez E. Orzeszkową — rzecz o Reju i Kochanowskim, z wyjątkami; „Wilno" przez W. Z. K.—Witamy serdecznie tę publikacyą. Za podjęcie tego wydawnictwa należy się p. Orzeszkowej szczere uznanie.

Encyklopedyi wychowawczej wyszedł zeszyt trzeci tomu 2-ga całego dzieła zeszyt 11 i obejmuje: Bibliografia. — Bieliński, Bescyusz. — Bohomolec. Bojaźliwość. — Bona. — Borowski. Cena zeszytu kop. 40, — z przesyłką kop. 50; — tomu pierwszego rs. 4. — z przesyłką rs. 4. kop. 60.

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie. Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu I. E. z pod Siedlec. W nauce dzieci, na pierwszym względzie powinna być mowa ojczysta, a więc i nauka czytania. Jednoczesne zatem uczenie dzieci czytania w dwóch językach, polskim i francuzkim uważamy nietylko za bezużyteczne ale i szkodliwe. Umiejąc dobrze czytac po polsku, łatwiej nauczą się czytać po francuzku, bo już myśl ich rozbudzona do działania, przyczyni się wielce do zapamiętania prawideł tak odmiennych od naszej pisowni. Inaczej postępując, w główkach dzieci może się pomieszać, i prawidła jednego języka do drugiego będą stosować. Sądzimy że to zdanie przez Szanownego Korespondenta w zupełności podzielone zostanie.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 21 Сентября 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

IDA LATIMER.

Przez
RODĘ BROUGHTON.
Przekład
K. P.

(Dalszy ciąg.)

Widziała wprawdzie że nie był już tak posłusznym jak dawniej, że nabrał złych nawyknień, ale powtórzył jej tyle razy że się bardzo cieszy z jej powrotu, że ją kocha daleko więcej niż Janinę, że nie mogła sądzić go zbyt surowo. Miał wielką ochotę pójść z nią gdy się wybierała do miasteczka rozciągającego się u stóp pagórka, ale Janina oparła się temu i kazała mu uczyć się jakiejś zadanej mu lekcyi; rozgniewany tem, usiłował się wymknąć z pokoju, a gdy mu się to nie udało, zaczął jej wymyślać. Ida zdumiona tem że się tak popsuł w czasie jej nieobecności, odezwała się tym spokojnym i surowym tonem który dawniej przywodził wszystkich do posłuszeństwa:

— Nie umiesz postępować z nim stosownie, Janino.

Ale już i ten ton nie wywierał żadnego wrażenia.

— Tak sądzisz? odpowiedziała zimno Janina. Co do mnie, jestem przekonana że dobrze postępuje, a ojciec jest także zadowolniony.

Powiedziawszy to, wyszła z pokoju pod pozorem że potrzebuje wydać jakieś rozkazy.

Ida oczekiwała naprożno aby wuj przywołał ją do biblioteki w celu naradzenia się nad interesami domowemi; czas upływał a on nie wzywał jej do siebie, w końcu widząc że wszystko uległo zupełnej zmianie, włożyła kapelusz i rozdrażniona silnie udała się do miasteczka.

Skoro znalazła się wśród tych poczernionych ręką czasu murów, pokrytych mchem i paprocią, rozweseliła się trochę. W domu spotykały ją same zawody i przykrości, ale tu pocieszy się widokiem wszystkich zakładów dobroczynnych które zostawiła w tak kwitnącym stanie: jak salę Towarzystwa wstrzemięźliwości, urządzoną tak doskonale, że służyła za wzór mieszkańcom innych parafii; ochronkę, w której już czteroletnie dzieci uczono, bawiąc, wyrabiać różne drobne przedmioty; szkółka wstępna, na którą pan Marlowe ofiarował domek, a nad którą nadzór Ida powierzyła młodej i ładnej wdowie bardzo kochającej wszystkie wogóle dzieci. Niestety, i tu spotkał ją zawód! W domku szkolnym dowiedziała się że wdówka poszła powtórnie zamąż, dzieci wróciły do rodziców lub krewnych i prawdopodobnie zapomniały już wszystkiego czego się nauczyły.

Zmartwiona tem, poszła dalej, ale już nie tak żwawym krokiem, a przechodząc przez rynek, zobaczyła z przerażeniem że wszyscy fermierzy stoją gromadkami przy drzwiach szynków. Przyspieszyła kroku, trapiona myślą którąby chciała koniecznie odsunąć od siebie, i w takiem usposobieniu stanęła przed salą Towarzystwa wstrzemięźliwości. Drzwi były zamknięte na klucz; zajrzała przez okno... cicho i pusto, a pomimo że to dzień targowy, nie przygotowano ani herbaty, ani chleba, ani nawet filiżanek. Rozgniewana, postanowiła wyszukać kobiety, która miała zastępować ją w czasie nieobecności, a gdy ją nakoniec znalazła, dowiedziała się od niej że trzy miesiące już temu, sala została zamknięta z rozkazu Janiny.

— Miss Marlowe powiedziała że nie ma czasu tem się zajmować, a że ludzie przestaliby do niej uczęszczać, gdyby nie była zawsze otwarta w porze właściwej, woli ją więc zamknąć zupełnie.

— A! tak powiedziała! rzekła Ida z gniewem. Otóż ja przeciwnie, rozkazuję otworzyć salę; proszę cię, idź natychmiast, rozpal ogień i przystaw wodę do niego.

Sześć miesięcy temu, każdy w Marlowe usłuchałby jej natychmiast; najlepszym więc dowodem że utraciła swą władzę było to, że ta kobieta ośmieliła się ociągać z wypełnieniem jej rozkazów.

— Zdaje mi się, rzekła, że miss Marlowe ma zamiar dopiero w zimie otworzyć salę.

Miss Latimer zarumieniła się z oburzenia.

— Zamiary miss Marlowe nie obchodzą mnie wcale, odezwała się nakazującym tonem wchodząc do sali, ja życzę sobie otworzyć ją zaraz i chcę aby *natychmiast* spełniono moje rozkazy.

Dopiero po niejakim czasie Ida pomiarkowała że pod wpływem uniesienia wydała rozkaz niepodobny do wykonania. Najprzód, że sala stojąca przez kilka miesięcy pustkami, potrzebowała koniecznie oczyszczenia, a następnie że brak było niezbędnych sprzętów, statków i zapasów żywności. trzeba więc było czekać aż do przyszłego tygodnia, a tymczasem szynki będą zapełnione, i może niejeden z mieszkańców stanie się jeszcze ofiarą swego zgubnego nałogu.

Bądź co bądź, Ida była zmuszona uledz konieczności, i pozostawiwszy potrzebne rozporządzenia, poszła do domu. Gorąco było większe niż wtenczas gdy szła do miasteczka, ale choćby nawet powiewał świeży i orzeźwiający wietrzyk, nie czułaby tego wcale.

Nie życzyła sobie spotkać obecnie nikogo, a zwłaszcza Janiny, szła więc wolnym krokiem przez park, około samego muru, a w końcu usiadła na jakimś wystającym kamieniu.

Woń petiunii rozchodziła się w powietrzu, przed jej oczyma rozciągał się miły i urozmaicony krajobraz, ale w tej chwili ani zapach kwiatów, ani piękny widok nie sprawiał na niej żadnego wrażenia. Dzień był prześliczny; białe błyszczące chmurki przesuwały się wolno po błękitnem tle nieba; łąki pokrywała tak świeża zieloność, że prawie olśniewały oczy. Ingleboro wznosiła dumnie głowę nad sąsiadującemi z nią górami, których stoki pokryte były płaszczem z purpurowych wrzosów, wielkich paproci, szmaragdowej trawy i szarych skał. Po niejakim czasie, Ida usłyszała męzkie kroki zbliżające się ku niej, ale uśmiech nie ukazał się na jej ustach, jak to bywało dawniej, i wpatrywała się ciągle w piękną dolinę, przerzniętą wstęgą ślicznej i spokojnej rzeczki Luny.

— Odpoczywasz Ido? odezwał się głos trochę niepewny.

— Odpoczywam, wuju, odpowiedziała poważnie.

— Piękne są nasze góry, wszak prawda?

— Tak, odpowiedziała z gorzkim uśmiechem, patrząc mu w oczy; dziwi mnie tylko że dotąd zostały na swojem miejscu, gdy zresztą wszystko uległo tak dziwnej i niekorzystnej zmianie.

Pan Marlowe nie znalazł na to żadnej odpowiedzi, tylko zaczął odrzucać kamyczki końcem laski, z taką miną jakby żałował że się zbliżył do Idy.

Może miss Latimer domyśliła się że miałby ochotę uciec od niej, bo powstała i zbliżając się do niego z pełną godności postawą, wsparła się na jego ramieniu, i pewna już że musi wysłuchać tego co mu chce powiedzieć, poprowadziła go do kwiatowego ogrodu.

— Bardzo mnie to cieszy, mój wuju, rzekła, że mogę pomówić z tobą otwarcie.

Grunt w tej części ogrodu był nierówny, a kląby kwiatów i krzewów rozrzucone bez symetryi. Tu kępy laurów, tam kwatery róż, tu znów schodki niekształtne prowadzące w górę lub na dół, a po za tem wszystkiem bystro płynący strumień. Nad tym strumykiem stała pod drzewem ławeczka, do której Ida przyprowadziła wuja, i usiadła obok niego z miną tak stanowczą, że aż dreszcz przeszedł biedaka.

— Nie mam zamiaru czynić ci wyrzutów, kochany wuju, rzekła usiłując rzeczywiście mówić spokojnie i z umiarkowaniem, ale zdaje mi się że wypadało ci, zanim pozwoliłeś mi do siebie wrócić, uprzedzić mnie o zmianach jakie podobało ci się zaprowadzić u siebie w domu.

— Ale ja nie zaprowadziłem żadnych zmian! zawołał pan Marlowe tłomacząc się; nie przykładałem się do nich wcale, i sam nie wiem jakim sposobem doszło do tego co jest obecnie.

— Na kilka dni przed śmiercią mego ojca, mówiła dalej Ida poważnie, pisałeś do mnie mój wuju te słowa: „Trzódka moja zaczyna brykać trochę samowolnie." Otóż teraz muszę ci oświadczyć, że bez twego szczerego współudziała, będę zmuszona wyrzec się wszelkich usiłowań w celu przywrócenia rzeczy do dawnego stanu.

Pan Marlowe przerażony tą groźbą, jakkolwiek sam czuł że przed rokiem uczyniłaby na nim silniejsze wrażenie,—wahał się i namyślał chwilę, a potem odezwał się:

— Było by mi bardzo przykro, gdybyś się tego wyrzekła, ale... ale... nie rozumiem doprawdy jakim sposobem mógłbym ci dopomódz.

— Skoro, kochany wuju, żądasz ode mnie rady,— co prawda, nawet nie myślał jej żądać,—zawołała Ida z żywością, to nie waham się oświadczyć że byłoby najlepiej gdybyś umieścił Janinę na jakiej dobrej pensyi. Skoro pozwoliłeś jej wyzwolić się z pod dozoru nauczycielki, dodała z wyrazem nagany, nie możesz już znaleźć nic lepszego.

— Nie przystanie na to, odpowiedział pan Marlowe wstrząsając głową.

— Nie przystanie! powtórzyła Ida spoglądając na niego z politowaniem, żartujesz mój wuju, takie jeszcze dziecko!

— Ale ona nie jest już dzieckiem! — zaprzeczył pan Marlowe nieśmiało. W tym miesiącu skończy szesnaście lat, a jak mi mówiła, wszyscy utrzymują że wygląda na ośmnaście.

— Ty zaś, mój wuju, wierzysz jak w ewangielią w to co ona ci powie?—rzekła Ida z kwaśno słodkim uśmiechem. Doprawdy, ubolewam nad tobą! Nie pojmuję jak można tak nadużywać czyjejś łatwowierności!

W tej jednak chwili pan Marlowe nie okazuje się tak łatwowiernym, gdyż ośmiela się jej zaprzeczyć.

— Janina jest bardzo rozwinięta na swój wiek, a prócz tego ma dobrą głowę, silny charakter

i wiele samodzielności. — Czy wiesz Ido, dodał opierając rękę na jej ramieniu,—że mi zupełnie przypomina ciebie.

— Mnie! zawołała zadziwiona i niezadowolniona Ida.

Zdarza nam się to niekiedy że nas uderzy jakaś myśl nowa, myśl, która nigdy przedtem nie postała w naszym umyśle, i tego właśnie doświadczyła w tej chwili Ida. Nieśmiała uwaga wuja przywiodła ją natychmiast do milczenia; czy to być może aby posiadała też same wady które jej się wydawały tak nieznośnemi w Janinie, zarozumiałość, wyrachowanie, lekceważenie zdania i opinii innych, chęć przewodzenia wszystkim pod pozorem troskliwości o ojca; czy być może aby Janina szła dziś tylko za jej przykładem i aby miss Latimer wydawała się kiedyś wszystkim taką, jaką jej obecnie wydaje się miss Marlowe? Sama myśl o tem podobieństwie, zarówno pod względem fizycznym jak moralnym, budziła w niej jakąś odrazę, a właśnie miss Janina zbliża się do nich ze swą wyzywającą miną, nucąc jakąś piosenkę.

— Gdzież się tak ukrywałeś ojczulku, rzekła tonem pieszczotliwej wymówki. Szukałam cię wszędzie.

— Szukałaś mnie Janciu? zapytał pan Marlowe z życzliwym ale trochę wymuszonym uśmiechem. Potrzebowałem pomówić trochę z Idą.

— Bardzo mi przykro że wam przerywam, odpowiedziała Janina przybierając poważną minę, ale ja także, ojczulku, potrzebuję pomówić z tobą o pewnym interesie.

— Czy to jest coś takiego czego mi nie wolno słyszeć? zapytała Ida spoglądając ironicznie na kuzynkę; coś niedostępnego dla tak niegodnych uszów jak moje? Czy mam oddalić się zupełnie, czy też zatkać sobie tylko uszy?

— Jak też możesz mówić coś podobnego! zawołał pan Marlowe przerażony takim zwrotem rozmowy. Nie potrzebujemy ukrywać nic przed tobą. Wszak prawda Janciu, że nie mamy żadnych sekretów.

— Nie wiem co nazywasz sekretem, mój ojcze, odpowiedziała z niezadowolnieniem Janina.

— Idź, idź, mój wuju! rzekła ironicznie miss Latimer popychając lekko pana Marlowe, który stał obok córki zakłopotany. Idź! nie chciałabym cię zatrzymać za nic w świecie: któż może przewidzieć jak ważne pociągnęłoby to za sobą następstwa?

XXV.

Była aniołem opiekuńczym, kamieniem węgielnym gmachu, główną podporą rodziny, a gdy zabrakło nagle tego anioła, kamienia, podpory, gmach i rodzina zdawały się nie spostrzegać tego wcale, a nawet możnaby sądzić że wolą obywać się bez niego.

Gorzkie łzy napełniły oczy Idy gdy pozostała sama na ławeczce nad strumykiem, który zdawał się urągać z niej swym wesołym szmerem. Dopiero dzwonek wzywający na śniadanie, wyrwał ją ze smutnego zamyślenia. Wstała natychmiast i poszła do domu, ale pomimo że się śpieszyła, zastała już wszystkich przy stole.

— Mam nadzieję że się tem nie obrazisz że nie czekaliśmy na ciebie, odezwała się Janina, ale doprawdy muszę się dziś bardzo spieszyć; o drugiej mam przewodniczyć na zgromadzeniu *Matek rodziny*, o czwartej sesya *dam dobroczynnych*.

— Gdzież teraz odbywacie sessye? zapytała Ida, zmuszając się do spokoju, przez wzgląd na wuja.

— U mistress Begbie, odpowiedziała trochę zmieszana Janina, — gdyż ta pani, ktorej wymówiła nazwisko, jest to wdowa nie posiadająca dobrej opinii. Sprowadziła się w sąsiedztwo na krótki czas przed wyjazdem Idy, która nie chciała zawiązywać z nią wcale stosunków.

— Jakto! zawołała z wyrazem oburzenia i zadziwienia, jakto! bywasz u niej? Sądzę że to dla ciebie złe i niewłaściwe towarzystwo, dodała tonem napominającym, który jednak teraz nie wywiera już żadnego wrażenia.

— Tak sądzisz, odpowiedziała z lekceważeniem Janina; ja nie podzielam twego zdania. Nie ulegam tak łatwo obcym wpływom, a ojciec życzy sobie abym była grzeczną dla wszystkich naszych sąsiadów. Wszak prawda, ojczulku?

Pan Marlowe odpowiedział tylko nic nieznaczącem skinieniem, a Ida niepewna czy ma się śmiać z niego, czy litować się nad nim, zmieniła spiesznie przedmiot rozmowy. Zwróciła się do niego i podając mu rękę z uśmiechem, jak to czyniła kiedyś, zapytała:

— Czy i ty, mój wuju, masz także jakieś pilne zajęcia?

— Ja, zawołał z wypogodzonem już czołem, o, nie! nie mam nic ważnego do roboty. Obiecałem tylko panu Anstruther, że pojadę konno do fermy Satterthwaite, aby zobaczyć budynki potrzebujące nowych dachów.

— Czy mogę pojechać z tobą? zapytała z żywością Ida, której przyszło na myśl że w ciągu tak długiej przejażdżki, będzie miała sposobność udzielić wujowi niejedną przestrogę i naukę. Tak mi będzie miło kłusować razem z tobą przez pola! Już tak długo byłam pozbawiona tej przyjemności!

— I mnie także sprawiłoby to prawdziwą przyjemność! odpowiedział pan Marlowe, ale w głosie jego czuć jakiś niepokój i zakłopotanie zaprzeczające poniekąd jego słowom.

— Jakto! zawołała zniecierpliwiona, czy tu jest ktoś taki któryby nie życzył sobie tego?

— O! nie! bynajmniej!... bynajmniej!... Tylko...

— Czy nie dowiem się czasem że mój koń Dapple... chciałam powiedzieć, że koń, którego pozwoliłeś mi uważać za moją własność, został sprzedanym?

— Sprzedanym! A! niech Bóg broni! odpowiedział z wymuszonym uśmiechem. Zkąd też podobna myśl mogła ci przyjść do głowy?... Tylko... tylko obecnie... trochę nam brak koni... Teraz Janina jeździła na nim i miała zamiar.. wszak prawda Janiu?... miała zamiar i dziś pojechać na nim na tę sessyę.

Zapanowało głuche milczenie. Ida nie mogłaby wymówić ani słowa gdyby nawet chciała, a nie chciałaby gdyby mogła.

— Ułóżcie się już między sobą, rzekł wstając od śniadania i ratując się ucieczką aby nie usłyszeć jakich wyrzutów. Jestem pewny że się pogodzicie.

Pogodziły się w ten sposób, że w oznaczonej godzinie Janina siedziała na koniu w amazonce wychodzącej z warsztatu najpierwszego krawca, a Ida błąkała się aż do wieczora wśród pootwieranych za jej staraniem zakładów, i zastała wszystkie albo zamknięte albo zupełnie przeistoczone, jakby komuś szło o to aby nie pozostało nawet śladu po tem co powstało pod jej opieką.

Komitet dostarczający ubogim obuwie i ubranie, drugi znów wydający biednym bony na węgle, szkółka, biblioteka ludowa, wszystko to chyliło się do upadku, lub było prowadzone w kierunku sprzecznym z jej wyobrażeniami. Poprawieni pijacy zaczęli upijać się napowrót; jeden z nich, ten właśnie którym pyszniła się najwięcej, siedział w więzieniu. Możnaby sądzić że ktoś uwziął się na to, aby zniweczyć to wszystko co jej się zdawało niewzruszonem.

Z początku sądziła że w ciągu kilku dni potrafi doprowadzić wszystko do pierwotnego stanu; tymczasem tydzień już upłynął, a ona czuła że jej równie trudno będzie odzyskać dawne prawa, jak Stuartom lub Bourbonom. Zaczęła nabierać przekonania że tron w Marlowe zamały na dwie osoby, i że ta która zajmuje go obecnie, nie myśli abdykować. Wprawdzie miss Latimer nie raz usiłowała pochwycić wodze rządu, rozpoczynała często walkę, ale zawsze napróżno, gdyż Janina opierając się na poczuciu obowiązku i przywiązaniu do ojca, zwyciężała ją zawsze.

Często Ida siedząc sama, zakrywała rękami twarz zarumienioną ze wstydu; gdy przyszło jej na myśl to co opowiadała Burnet'owi o swem stanowisku w domu wuja, o uszanowaniu z jakiem spełniano wszelkie jej rozporządzenia. Cóżby powiedział gdyby obecnie patrzył na nią!

Już od trzech tygodni nie słyszała nic o nim i o jego siostrze, tylko myślą przenosiła się często do jego domu, do tego tak niegustownie urządzonego salonu, gdzie tłusty kot zasypiał tak smacznie, a papuga krzyczała przeraźliwie. Mogłaby mieć o nich wiadomość od Tarlton'ów, bo Zofia nie zaniedbała z pewnością znajomości o którą starała się tak usilnie, ale Tarlton'owie nie wrócili jeszcze na wieś.

Nakoniec po południu, przy końcu sierpnia, obie panny Tarlton przybyły do Marlowe, a Ida powitała je teraz z prawdziwą radością. Siedziała właśnie na nizkim murze otaczającym taras; przyjaciółki zajęły obok niej miejsca, i każda z nich uchwyciła jedną jej rękę, co nie zniecierpliwiło ją wcale. Zdawało jej się gdy patrzyła na ich wesołe i uśmiechające się do niej życzliwie twarze, iż je kocha i zawsze kochała z całego serca. Uczucie zazdrości, które w niej budziła Zofia, nie było teraz tak silne, raz że słowa które usłyszała przy pożegnaniu i wyraz z którym były wymówione, wyryły się głęboko w jej pamięci, powtóre że przykrości obecne nie dozwalają jej myśléć tak bardzo o przeszłych.

— Wróciłyście nakoniec! rzekła uśmiechając się do nich.

— Tak, dzięki Bogu, zawołały jednocześnie.

— Korzystaj z naszego doświadczenia, odezwała się następnie Zofia, i jeżeli chcesz podróżować dla przyjemności, to strzeż się towarzystwa własnej rodziny.

— Rodzice nasi sprzeczali się z sobą ciągle, dodała Anna, a że i my często nie zgadzamy się z sobą, użyłyśmy więcej przykrości jak przyjemności.

— Rzeczywiście, potwierdziła Zofia, jedyną przyjemnością jakiej doznałyśmy w ciągu tej wycieczki, było spotkanie się w Ambleside z Burnet'ami, a śmiało powiedzieć mogę że i dla nich było równie pożądanem.

— Z Burnet'ami? —powtórzyła Ida drżącym głosem.

Chciała nieznacznie dowiedzieć się czegoś o nich, i posłyszawszy tak nagle to nazwisko, którego nie śmiała wymówić, nie zdołała ukryć dobrze wzruszenia.

— Tak, z Burnet'ami, — odpowiedziała Zofia spoglądając na nią z zadziwieniem, ale nie domyślając się niczego, gdyż trudno nam pozbyć się mylnego przekonania, skoro je raz poweźmiemy. Wiesz zapewnie że wyjechał z Londynu chcąc odpocząć trochę, a co prawda, potrzebował tego, gdyż pracuje

nad siły. Mówiłam mu to nie raz i zachęcałam aby się oszczędzał więcej.

— Bardzo słusznie!

— Wkrótce przyjadą do nas na kilka dni, mówiła dalej miss Tarlton z widocznem zadowoleniem, a następnie zabiorą nas z sobą i zwiedzimy razem południowe okolice.

— Prawdę mówiąc, nie bardzo chętnie przyjął nasze zaproszenie, odezwała się Anna, ale ofiarowaliśmy im szczerze gościnność, i musiał uledz naszym naleganiom.

— Pochodziło to jedynie ze zbytniej jego delikatności, powiedziała Zofia, uważając że lepiej objaśnić w ten sposób słowa siostry, niżeli im zaprzeczyć. Jestem pewna że z początku odmawiał nam dla tego jedynie że nie sądził aby to zaproszenie stosowało się i do jego siostry, a wiesz jak jest dla niej dobry i uprzedzający.

— Czy nie dali ci do mnie jakiego zlecenia? zapytała Ida zwracając się do Anny i usiłując mówić spokojnie.

— Czy nam dali jakie polecenie do ciebie? powtórzyła Anna. Zofia może wiedzieć to lepiej, gdyż miała u nich więcej łaski.

— Żadnego! — odpowiedziała Zofia. Tak... nic sobie nie przypominam. Ale, gdybyś chciała widzieć się z nimi,—o czem bardzo wątpię,—to mogłabym ich tu przywieźć kiedy. Mielibyśmy jakiś cel do przechadzki.

Czy chciałaby go widzieć! O! na samą myśl o tem oczy jej zachodzą łzami, które z trudnością powstrzymuje.

Wkrótce potem ukazała się Janina, aby zaprosić je osobiście na śniadanie i dowieść im przez to że teraz ona jedynie ma do tego prawo.

— Dziękuję ci, Janino, odpowiedziała zimno Zofia, ale jesteśmy już zaproszone przez Idę. Jakżeś ty urosła, moje dziecię! Jeźli tak dalej będzie, to wkrótce może cię kto wziąść za dorosłą już pannę.

Miss Janina odpowiedziała tylko pełnem gniewu spojrzeniem, i uciekła.

— Jakaż to nieznośna dziewczyna! zawołała Zofia, nie zważając na to że ją może usłyszeć.

— Tak bardzo ci się nie podobała? rzekła poważnie Ida. Wuj utrzymuje, że do mnie podobna.

— Doprawdy! zawołała ze śmiechem Zofia nie okazując bynajmniej oburzenia, jak tego spodziewała się Ida. Śmieszne to, ale rozumiem co chciał przez to powiedzieć.

Zasmucona tą niespodziewaną odpowiedzią Ida, zwróciła znów oczy na pola i góry oświecone ostatniemi promieniami zachodzącego słońca.

— Czemu nie umieszczono jej na pensyi? zapytała Zofia prawie z oburzeniem.

— Bo ona tego nie chce, odpowiedziała Ida.

— *Ona tego nie chce!* powtórzyła Zofia. Dawniej nie pozwoliłabyś jej na to.

— Nie przeczę, odpowiedziała Ida z gorzkim uśmiechem; ale teraz, jak widzisz, wszystko się tu zmieniło. Nikt już nie pyta o moje zdanie i pozwolenie.

— Bardzoby mnie to ucieszyło, odezwała się znów Zofia z wyrazem zupełnej szczerości, gdybym się dowiedziała że pan Marlowe postanowił dać swym dzieciom macochę uczciwą, rozsądną i energiczną.

— Macochę! powtórzyła Ida prawie z przerażeniem, rzucając na przyjaciółkę karcące spojrzenie. Jak można przypuszczać coś tak niepodobnego!

— Zdarzają się dziwniejsze jeszcze rzeczy, odpowiedziała spokojnie Zofia. Pan Marlowe nie jest tak starym, zaręczam że nie ma sześćdziesięciu lat, i wyglądałby wcale dobrze, gdyby się ubierał i czesał starannie. Podług mnie, kobieta któraby go zaślubiła, nie byłaby tak bardzo godną pożałowania!

— Prawisz niedorzeczności, Zofio! zawołała surowo Ida; proszę cię mówmy o czem innem.

Ida, która przez całe swoje życie uważała wuja za czcigodnego starca, którego należało otaczać szczerą troskliwością i szacunkiem, była tak oburzoną przypuszczeniem iż mógłby się ożenić, że gotowa była uważać to za jakąś dla niego zniewagę.

— Mogę nie wspominać już o tem, skoro tak sobie życzysz, odpowiedziała wesoło Zofia; ale powtarzam raz jeszcze, choć cię to gniewa, że zdarzają się na świecie dziwniejsze jeszcze rzeczy, i że co do mnie, uważałabym to za prawdziwe szczęście dla jego dzieci.

XXVI.

Myśl rzucona przez Zofię, zwiększyła liczbę różnych trosk i przykrości doznawanych przez Idę; teraz już niespokojnie i z obawą spoglądała na wuja. Życzyła mu z całego serca zdrowia i długiego życia, a jednak, teraz kiedy już otworzono jej oczy, musiała przyznać, choć jej to sprawiło przykrość, że myliła się uważając go za starca. Nie było rzeczywiście nic nakazującego poszanowanie w jego krótkich i twardych siwych włosach, które nie raz gładziła ręką z taką czułością; to silnie zbudowane ciało i te żwawe ruchy nie zwiastują zgrzybiałości

— Czy nie chciałbyś mi powiedzieć, kochany wuju, ile masz lat? zapytała pewnego dnia po długiem i uważnem wpatrywaniu się w niego.

— Ile mam lat? odpowiedział z pewnem wahaniem. Doprawdy trudno mi odpowiedzieć na to, bo wiem tyle tylko że mam przeszło pięćdziesiąt, i że urodziłem się w poniedziałek... Utrzymują że dzieci rodzące się w poniedziałek są zawsze piękne i miłe... ale gdyby szło o moje życie, nie potrafiłbym dać na to dokładnej odpowiedzi.

Zofia miała słuszność, jeszcze nie ma sześćdziesięciu lat! Ida zadrżała; jeźli Zofia nie myliła się co do wieku, to i dalsze jej przypuszczenia sprawdzić się mogą. Dla czegóż pan Marlowe nie miałby wprowadzić do swego domu owej rozsądnej i energicznej macochy, o której wspominała miss Tarlton? Kto mógłby nie dozwolić mu na to? Ile razy w najniewinniejszej myśli, oddalił się choćby na parę dni z domu, zdawało jej się że powróci z żoną; a jakkolwiek nawet w podobnym razie, jej położenie już nie mogłoby się pogorszyć, myśl o powtórnem ożynieniu wuja przejmuje ją zgrozą.

Możnaby sądzić, że zmiana pozbawiająca Janinę władzy, powinna być pożądaną dla Idy, a jednak działo się przeciwnie, pomimo że Janina stawała się codzień więcej imponującą i codzień głośniej mówiła o swem przywiązaniu do ojca, co zawsze wywierało korzystne dla niej skutki.

— Janina jest trochę samowolna, powtarzał często pan Marlowe, ale pomimo to bardzo przywiązana do mnie.

Ida w takim razie z trudnością zachowuje milczenie, a co wieczór idąc spać, zadaje sobie pytanie:

— Dla czegoż ja tu jestem jeszcze, skoro cały świat jest dla mnie otwarty?

Ale dla tego właśnie że cały świat był przed nią otwarty nie wiedziała w którą stronę ma się zwrócić. Zaskoczyły ją nagle tak niespodziewane zmiany, że była nimi prawie odurzona. Nawet po odziedziczeniu tak wielkiego majątku, nie pomyślała ani na chwilę aby mogła nie wrócić do Marlowe, i układała zawczasu w myśli jakie tam zaprowadzi ulepszenia, jakie tam wszyscy razem będą wieść wygodne i przyjemne życie. Marlowe było dla niej domem rodzinnym, w którym mogła rozwinąć całą swą działalność, ogniskiem, z którego miały się rozchodzić na wszystkie strony jej dobre uczynki. Teraz gdy się przekonała że może tam być tylko gościem, że jest skazana na bezczynne życie, nie ma już ani siły, ani chęci myśleć o zbudowaniu sobie przyszłości na innych podstawach i za pomocą innych środków.

Czy zanim się namyśli i poweźmie jakieś stanowcze postanowienie, ma przyjmować liczne zaproszenia, które zawdzięcza swej młodości, piękności i swym milionom? Nie, brak jej na to odwagi, a jednak dawniej była tak wesoła i tak śmiała! Czy będzie podróżować? Z kim i gdzie? W jakim celu? Mogłaby mieć swój własny dom, rządzić się w nim według upodobania, ale jakkolwiek Burnet jej zarzuca że nie zwraca dość uwagi na przepisy przyzwoitości, czuje to jednak że nie może mieszkać sama, a nie miałaby siły poprzestać na towarzystwie jakiejś obcej i płatnej osoby, gdy tak przywykła do rodzinnego życia.

Ogromny majątek przynosił jej więcej kłopotów jak przyjemności; nie umiała nim zarządzać. Straciła swą dawną zarozumiałość i zaufanie w swym rozumie, i czuła to dobrze iż nie raz będzie wyzyskiwaną przez oszustów. Do wszystkich powodów usprawiedliwiających ten brak stanowczości, łączyła się jeszcze jakaś iskierka nadziei, opierającej się jedynie na kilku wyrazach wypowiedzianych wzruszonym głosem.

W początku września, w dzień targowy, Ida udała się zaraz po południu do sali Towarzystwa wstrzemięźliwości, jedynej z założonych przez nią instytucyi, utrzymującej się jeszcze, i pozostała tam aż do wieczora. Przyrządziła herbatę, pokrajała soloną wołowinę, posmarowała spore kawałki chleba roztopionem masłem, a na przynętę poukładała nawet ciastka. Ale jakkolwiek pozostała na swem stanowisku przez całe pół dnia, nie zyskała nic prawie, prócz silnego bólu głowy; zaledwie kilku z dawnych jej gości weszło do sali. Może wypadałoby przypisać tę obojętność nagłemu i nieusprawiedliwionemu niczem zamknięciu sali, co musiało zniechęcić wielu i skłonić do uczęszczania do szynków, gdzie nic się nie zmienia, i gdzie panie i panny stojące za bufetem, zawsze tam zastać można.

Ida odeszła do domu dopiero wieczorem, kiedy już nie można było spodziewać się nikogo, a wychodząc spojrzała z wyrazem zniechęcenia na te wszystkie artykuły żywności, które z taką przyjemnością przyrządzała rano.

Wróciła do domu smutna i zmęczona, i zastała Janinę i Ryszardka kłócących się z sobą, co zresztą zdarzało się prawie codzień. Janina trzymała go silnie za ramiona i wypychała za drzwi, grożąc rózgą i zamknięciem w jego pokoju o chlebie i wodzie, a Ryszardek wyrywał jej się, szturgał ją, nazywał szkaradnem bydlęciem, i życzył jej aby się zapadła w ziemię.

Zapewnie w innym razie Ida byłaby odeszła nie mieszając się do nich wcale, ale w tej chwili była bardzo rozdrażniona doznanem niepowodzeniem, a prócz tego tak ją oburzało postępowanie Janiny z bratem, że zapomniała o przysłowiu „nie kładź palca między drzwi”. Ryszardek zobaczywszy Idę, rzucił jej się na szyję i zaczął skarżyć się na siostrę; wtenczas miss Marlowe chciała odciągnąć go od niej gwałtem, a miss Latimer zawołała, zwracając na nią błyszczące gniewem oczy:

— Nie dotykaj go się! Nie umiesz go wychowywać, i ostrzegam cię że powiem to wujowi.

— Powiedz, skoro chcesz; jestem pewna że ojciec mnie przyzna słuszność.

— Wywierasz zgubny wpływ na to dziecko, zawołała z uniesieniem Ida; uczysz go złości, uporu...

— I co więcej jeszcze? rzekła Janina zuchwałym i wyzywającym tonem. Zdaje mi się że mam prawo zająć się wychowaniem mego braciszka! Niech każdy zajmuje się tem co do niego należy, a nie miesza się do innych.

Nigdy jeszcze Janina nie posunęła się tak daleko, i dla tego też Ida osłupiała prawie na chwilę, wkrótce jednak odzyskała zimną krew, i rzekła rozkazującym tonem wskazując ręką drzwi:

— Wyjdź natychmiast!

— Mam wyjść! odpowiedziała zimno Janina, rozsiadając się wygodnie w fotelu; żartujesz zapewnie? Dla czegoż miałabym wychodzić z mego salonu?

— W takim razie ja wyjdę! zawołała Ida spostrzegając że odezwała się niewłaściwie. Nie mogę na to pozwolić, aby odzywano się do mnie w ten sposób.

Odwróciła się prędko, twarz jej była silnie zarumieniona, błękitne oczy pałały ogniem. Nie była to z pewnością odpowiednia chwila do przyjmowania gości, a jednak ktoś ukazał się właśnie na progu. Wprawdzie służący oznajmił o jego przybyciu, ale żadna z nich nie zwróciła na to uwagi, i teraz stał na progu zmieszany, niepewny czy ma się cofnąć, czy iść dalej.

Ida poznała go natychmiast. To Burnet! Burnet, któremu powtarzała zawsze że jest tak kochaną i szanowaną w domu wuja, a któremu ukazuje się teraz w tak niekorzystnem świetle.

Stał we drzwiach, oniemiały z zadziwienia. Co do niej, przejęta wstydem, myślała tylko aby się skryć gdzie przed nim, i wybiegła z pokoju, nie ośmieliwszy się nawet podnieść na niego oczu.

Nie umiała sobie zdać sprawy jak długo już błąkała się po ogrodzie, niespokojna i wzruszona, kiedy nagle nowa opanowała ją obawa. Jeźli odjedzie i nie powróci już więcej, jeźli później będzie ją zawsze przedstawiać sobie w myśli tak jak ją teraz widział, rozzłoszczoną i kłócącą się jak przekupka!

Pod wpływem tej obawy przebiegła prędko ulicę obsadzoną wiązami i dochodzącą do drogi którą miał wracać. Nie zobaczyła na niej nikogo. Pobiegła do stajni i tam spostrzegła jego *dog-cart* jeszcze niezaprzężony. Nie odjechał!

Powróciła spiesznie na miejsce około którego musiał przejeżdżać; będzie mogła przynajmniej pożegnać go ukłonem, skinieniem ręki. Wkrótce potem spostrzegła go w ogrodzie; oglądał się na wszystkie strony jakby szukał kogoś. Tego właśnie pragnęła, a teraz kiedy już wie że nie chce odjechać nie zobaczywszy się z nią, nie śmie pójść naprzeciwko niego. Może i tak dojrzy jej białą suknię między drzewami.

Rzeczywiście posiadał wzrok tak bystry że dostrzegł ją zaraz, i pośpieszył do niej. Podali sobie w milczeniu ręce, a następnie on odezwał się pierwszy.

— Chciałem... chciałem pożegnać się z panią, rzekł trochę zmieszany; odjeżdżam.

— Czy tak? odpowiedziała, nie wiedząc prawie co mówi; będzie pan miał śliczny wieczór.

— Tak, bardzo ładny.

Czas jakiś spoglądali na roztaczający się przed nimi krajobraz, a w końcu Ida przerwała milczenie.

— Jak widać, należę do rzędu tych osób z któremi trudno żyć w zgodzie, odezwała się ze łzawym uśmiechem. Nie zapomniał pan zapewnie że zawsze sprzeczaliśmy się z sobą, a miał pan sposobność przekonać się teraz że nie nabrałam zgodniejszego usposobienia.

Milczał, nie mogąc znaleźć odpowiedzi zarazem szczerej i grzecznej.

— Co pan teraz myśli o mojej prawdomówności, mówiła dalej z nerwowym uśmiechem, po tem wszystkiem co panu mówiłam o mojej przewadze w domu, o moich rozlicznych i użytecznych zajęciach? Wszak prawda, że to wszystko zgadza się wybornie z tem co pan widział przed chwilą? Ale doprawdy... doprawdy... Mówiąc to zdawała się prosić go oczyma o współczucie:—dawniej było inaczej. Przeceniałam, jak to często czynię, moją wartość ale zaręczam panu że byłam tu użyteczną... że mnie wtenczas kochano, szanowano.

Zamilkła, bo łzy głos jej stłumiły.

— O! nie wątpię że panią kochano, rzekł wzruszonym głosem. Bardzo temu wierzę.

— Czy pan pamięta, mówiła dalej ocierając oczy, że gdy pewnego dnia starałam się przekonać pana że obecność moja jest tu dla wszystkich niezbędną, że wszyscy tęschnią za mną, pan odpowiedział mi na to, że mogę być zupełnie spokojną, gdyż bez wątpienia potrafią obyć się beze mnie.

— Ja tak powiedziałem? W każdym razie nie można tego uważać za przepowiednię. Był em tyl ko w złym humorze.

— A jednak słowa pana sprawdziły się zupełnie!

Znów przerwała się rozmowa; tylko wzrok ich błąkał się jednocześnie po pagórk ach, ozłoconych ostatniemi promieniami, chylącej się do zachodu dziennej gwiazdy.

— Jakże piękne musi wydawać się zachód słońca z wierzchołka góry! odezwała się Ida zniżonym głosem. Czy... czy... nie moglibyśmy tam pójść?

Zaledwie to wymówiła, już zaczęła żałować że wystąpiła z żądaniem które może być odrzuconem. Burnet wahał się chwilę, spojrzał na góry, potem na Idę patrzącą na niego nieśmiało, a w końcu dodał spiesznie jakby nie mógł się oprzeć jej życzeniu.

— Pójdźmy! Czemu nie?

Zwrócili się więc ku bramie zakończającej ulicę wysadzaną wiązami, których gałęzie tworzyły nad nimi sklepienie. Muszą się spieszyć jeźli chcą widzieć jeszcze zachód słońca; zapewnie też ten pośpiech nie dozwalał im mówić z sobą, gdy wchodzili na górę, na której widać było stado owiec pasących się spokojnie

Kiedy nakoniec stanęli u celu, znikł już piękny widok, dla którego tam przybyli, i wszystko zaczęło przybierać jednostajną szarą barwę. Zapóźno!

— Przepraszam pana, rzekła siadając zmęczona na kobiercu z macierzanki, za ten niemiły zawód. Gdybyśmy przyszli choć pięć minut prędzej! Gdyby się pan był mógł oderwać pięć minut wcześniej od miłego towarzystwa Janiny!

Usiadł przy niej i odpowiedział z trochę złośliwym uśmiechem:

— Czy to moja wina, że mnie skazano na tak długie z nią sam na sam?

— Wuj utrzymuje, odezwała się znów Ida, starając się zbadać dokładnie jakie to na nim uczyni wrażenie, że ona bardzo do mnie podobna.

Nie zdawał się podzielać zdania jej wuja, ale pomimo to nie dostrzegła na jego twarzy więcej zadziwienia lub oburzenia, jak przedtem na twarzy Zofii, gdy jej to powiedziała.

— Miss Tarlton, mówiła dalej z pewnem wahaniem, utrzymuje że wie co chciał przez to powiedzieć. Czy i pan także?

Na poważnej zwykle jego twarzy ukazał się uśmiech gdy jej odpowiedział:

— Zdaje mi się, rzekł, iż miało to znaczyć że tak jedna jak druga z pań, lubi stosować się tylko do swej woli.

— Tak jedna jak druga! zawołała Ida upokorzona tem porównaniem; a jednak to rzecz pewna, że pomimo podobieństwa jakie ma istnieć między nami, niepodobna nam będzie żyć dłużej pod jednym dachem.

— Tak pani sądzi? zapytał z wyrazem szczerego zajęcia.

— Tak! to już dla mnie nie podpada wątpliwości, odpowiedziała stanowczym tonem. Nie potrafię powiedzieć jakim sposobem do tego doszła, jakkolwiek powinnabym to odgadnąć łatwo skoro jesteśmy tak podobne do siebie!—dość że potrafiła tak zręcznie korzystać z okoliczności że zabrała moje miejsce i wydarła mi wszystkie moje prawa.

— Prawa? powtórzył. Jakie prawa? Nie zdaje mi się aby pani posiadała je rzeczywiście?... Wnosiłem z tego co mi pani mówiła, że zajmowane przez nią stanowisko w domu wuja było tylko czasowe, to jest że miało trwać do chwili w której miss Marlowe będzie mogła zastąpić panią; a sądzę, dodał przypominając sobie śmiałe obejście Janiny, że ta chwila już nadeszła, że jest w odpowiednim do tego wieku.

— W odpowiednim wieku? powtórzyła Ida z żywością. Ależ to jeszcze dziecko! Wszyscy uwzięli się na to aby ją uważać za osobę dorosłą, a w rzeczywistości ma dopiero szesnaście lat.

— Wygląda na ośmnaście, odpowiedział Burnet, a nawet możnaby jej dać dziewiętnaście lub dwadzieścia.

— Zdaje mi się że pan żartuje, rzekła Ida zimno, a ponieważ jest to dla mnie przedmiot bardzo ważny, lepiej nie mówmy o tem.

Po kilku minutach milczenia, Burnet odezwał się z pewnem wahaniem:

— Rozumiem że takie położenie musi być dla pani przykre a przedewszystkiem nieprzewidziane, gdyż w Londynie zdawała się pani rachować minuty do dnia wyjazdu.

— Bądź co bądź odezwała się smutnie, sądziłam że tu stanę na pewnym gruncie, a tymczasem ziemia usuwa mi się pod nogami!

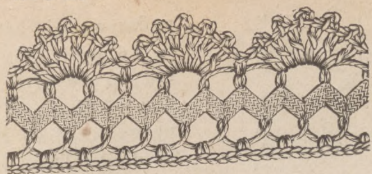
Mówiąc to przebiegała otaczający ją krajobraz, a nakoniec zatrzymała się na pagórku na którym jakiś z nieżyjących już Marlowe'ów, zbudował kiosk w którym lubiał przebywać. Wsparła głowę na ręku i zamyśliła się głęboko. On milczy także; ale cóż to znaczy? Czy nie dosyć dla Idy że jest przy niej, że go widzi obok siebie, w ten piękny wieczór, wśród uroczystego spokoju natury, kojącego wszelkie niepokoje?

— Czy pan sądzi że nie ma już na to rady? zapytała z żywością ale spokojnie. Janina ma dopiero szesnaście lat, jakkolwiek liczą jej więcej, i zdaje mi się że potrafię dojść do ładu z szesnastoletnią dziewczyną.

— Nie próbowałbym tego będąc na miejscu pani, rzekł wstrząsając głową.

— Nie probowałby pan nawet? odpowiedziała zarumieniona ale nie przekonana. Sądzę że nam nie wolno cofać się dla tego, że spotykamy jakieś przeszkody na drodze obowiązku.

(D. c. n.)



N. 1. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem do bielizny i t. p.

Opis do N-ru 41.

(Dalszy ciąg.)

Przód sukni widoczny przy otwartej tunice, naszyty falbanami koronkowemi, u dołu na 65 c. szerokości, ku górze stopniowo zwężony; boki



N. 5. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Krój na arkuszu N. XIII, fig. 69.

i tylny bryt zakończony jedwabnym wolantem 10 cent. szerokim, obrąbionym krytym szwem. Fig. 69 podaje w zmniejszeniu krój tuniki, wymiar i sfałdowanie: *a* znaczy części przednie, przyszyte na spódnicy 12 cent. poniżej paska, zmarszczane z przodu do 83 cent., a z boków sfałdowane do 54 cent. Tylny bryt kraje się podług *b* i przez złożenie fałdów skraca do 74 cent. Baskina stanika



N. 3 i 4. Suknia z przemarszczeniem coulisse. Krój na arkuszu N. VI, fig. 26.



N. 2. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem do bielizny i t. p.

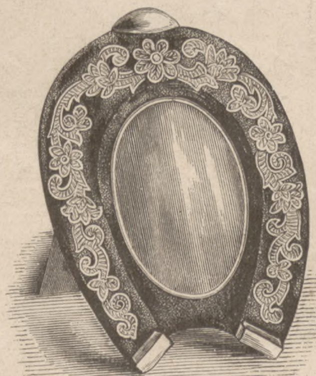
z tyłu fałdowana i dopełniona upięciem 31 c. długiem, z przodu naszyta trzema rzędami koronki; dolny rząd zawrócony ku górze dany jest wzdłuż przodów. Rękawy garnirowane koronką; spodni stanik może iść pod szyją lub być wycięty kwadratowo.



N. 6. Suknia ze stanikiem bawetowym i chusteczką. Patrz ryc. 36.

N. 6 i 36. Suknia z bawetowym stanikiem i chusteczką.

Zarzucenie chusteczki i odrobienie sukni przypomina toalety à la Pompadour i Marie Antoinette, dające się wykończyć z gładkiego i deseniowego materyału. Model który opisujemy był z atłasu i jedwabnej broszowanej materyi w kolorze popielatym. Z atłasu szeroko obłożonego deseniową plisą dane falbany plisowane i bufki u dołu sukni. Tunika

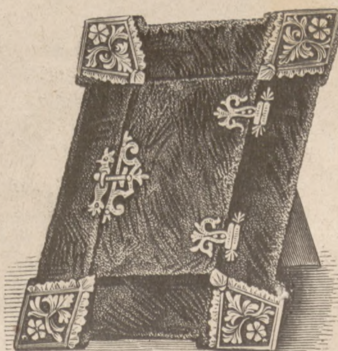


N. 7. Ramka w kształcie podkowy zdobna haftem hiszpańskim koronkowym. Deseń na arkuszu fig. 28.



N. 9. Okrycie z pelerynką. Patrz r. 11. Krój i deseń na arkuszu N. VIII, fig. 39—45.

N. 10. Okrycie z szerokiemi rękawami. Patrz ryc. 12. Krój na arkuszu N. II, fig. 8—12.

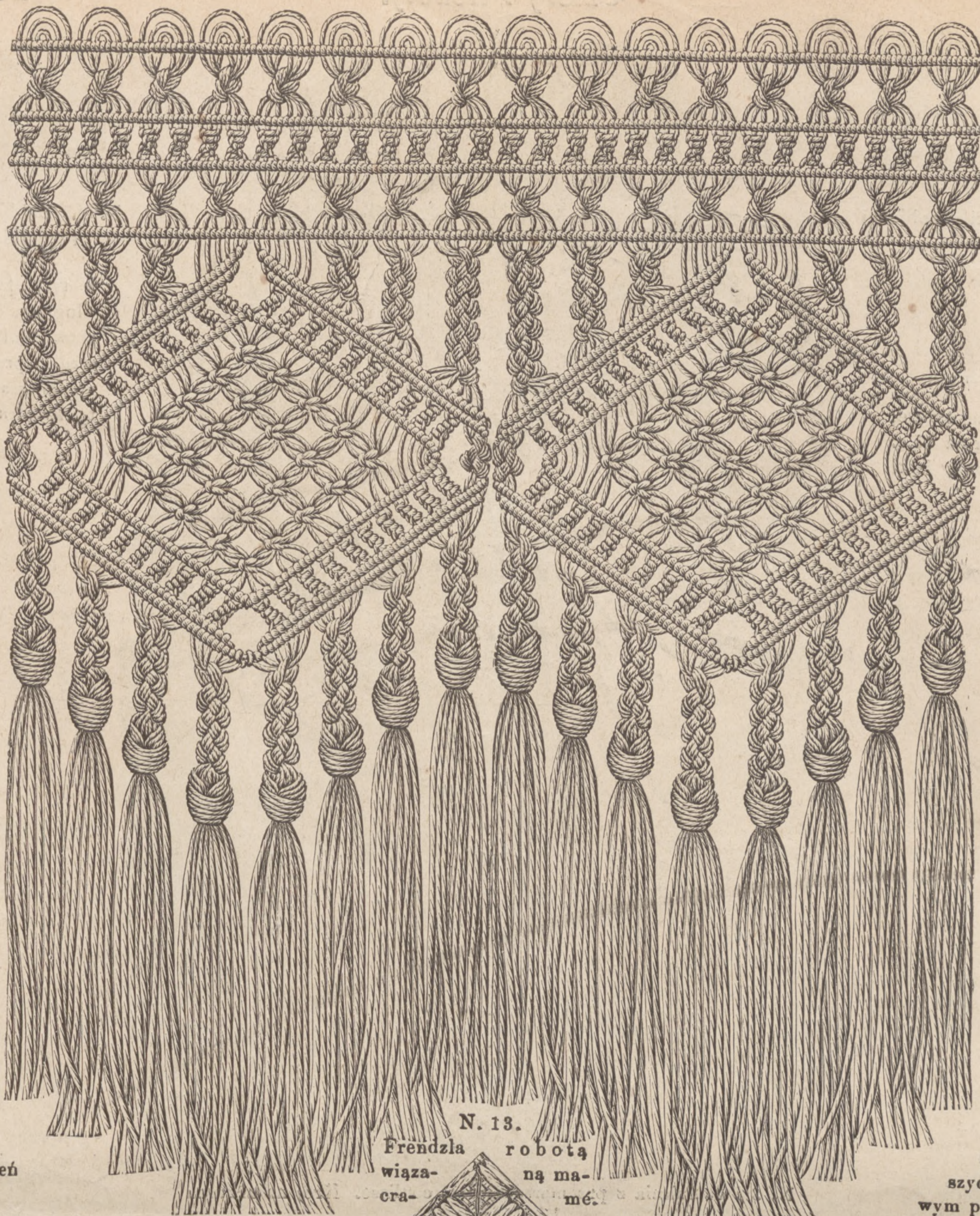


N. 8. Ramka zamykana z metalowemi ozdobami.

à la Pompadour z przodu skośnie przerzucona, z tyłu krótko podpięta, wymaga dwóch brytów prostych po 60 cent. szerokich, 92 długich i tylnego bryta 114 cent. długiego. Stanik z przodu i z tyłu ścięty bawetowo, przykryty jest chusteczką


N. 11. Okrycie z peleryną. Patrz ryc. 9. Krój na arkuszu N. VIII, fig. 39—45.

ze skośnego kawałka tiulu 185 c. długiego, 30 szerokiego, ogarnirowanego szeroką koronką. Końce chusteczki łączą się pod kokardą na bawecie z tyłu. Na kokardy użyta wstążka 12 i 5 c. szeroka.


N. 13. Frendzla wiązana robotą makramé.

podszywa się listewką i fałduje do 56 cent. długości. Plisowanie to przyszyte jest do przodów od H, a do pleców peleryny wzdłuż linii kropkowanej od H do dwukropka; ażeby fałdy nie rozrzucały się, trzeba w połowie długości podszyć je ta-

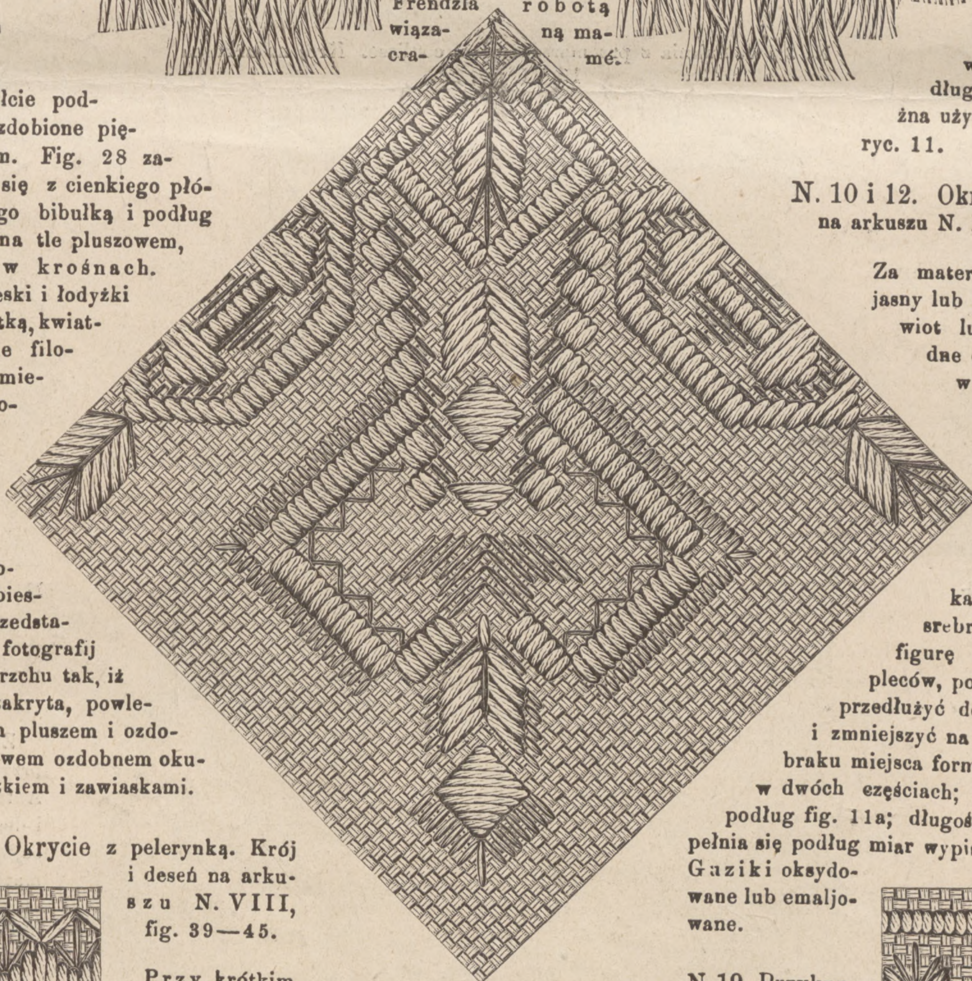

N. 12. Okrycie z szerokiemi rękawami. Patrz r. 10. Krój na ark. N. II, fig. 8—12.

siemką. Kołnierz na podszewce i sztywnym muślinie wszyty w wykrój szyi od N do O. Brzegi przednie okrycia z peleryną, podszyte listwą $4^1/_2$ cent. szeroką; dolne brzegi są wązko obrąbione; guziki rogowe. Okrycie z bronzowego szewiotu ozdobione wyszyciem z kręconego sznureczka ze stalowym połyskiem i perełkami bronzowemi, podług deseniu fig. 43—45. Zamiast perełek można użyć sutasz i jedwabny sznureczek, jak na ryc. 11.

N. 7—8. Ramki do fotografij. Deseń do ryc. 7 patrz fig. 28.

Rycina 7 przedstawia ramki w kształcie podkowy, pokryte ciemnym pluszem i ozdobione pięknym haftem hiszpańskim koronkowym. Fig. 28 załącza połowę deseniu, który wycina się z cienkiego płótna podklejonego bibułką i podług ryc. 7 nakleja na tle pluszowem, rozciągniętem w krosnach. Kontury, arabeski i łodyżki wyszyte złotą nitką, kwiatki zaś odrobione filozelą. Kolory zmieniają się stosownie do tła; bardzo ładnie przedstawia się haft oliwkowo-zielony z bladoróżowym i niebieskim. Ryc. 8 przedstawia ramki do fotografij zamykane z wierzchu tak, iż fotografia jest zakryta, powleczone ponsowym pluszem i ozdobione bronzowem ozdobnem okuciem, zameczkiem i zawiaskami.

N. 14. Paletocik z kapturkiem dla chłopca lat 6—8. Patrz ryc. 34 w N. 40. Krój na arkuszu N. IX, fig. 46-51.


N. 16. Część kwadratu do serwety ryc. 14 w N-rze 40.

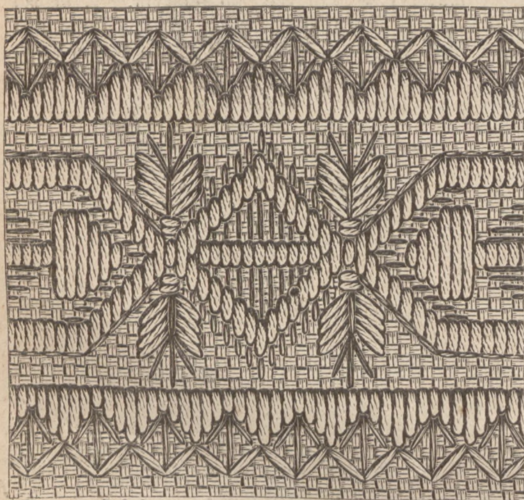
N. 10 i 12. Okrycie z szerokiemi rękawami. Krój i deseń na arkuszu N. II, fig. 8—12.

Za materyał służyć może jasny lub ciemny twed, szewiot lub t. p., albo modne obecnie materyały w pasy lub kratę. Ryc. 12 przedstawia plecy okrycia z popielatego szewiotu, z wyszyciem ze sznureczka przerabianego srebrem. Fig. 12 daje figurę wyszytą u dołu pleców, podług której łatwo przedłużyć deseń środkowy i zmniejszyć na kołnierzyk. Dla braku miejsca forma rękawa podana w dwóch częściach; łatwo ją zestawić podług fig. 11a; długość i szerokość dopełnia się podług miar wypisanych na formie. Gaziki oksydowane lub emaljowane.


N. 15. Paletocik długi z pelerynką dla dziewczynki. Patrz r. 33 w N. 40. Krój na ar. N. III, f 13-19.

N. 9 i 11. Okrycie z pelerynką. Krój i deseń na arkuszu N. VIII, fig. 39—45.

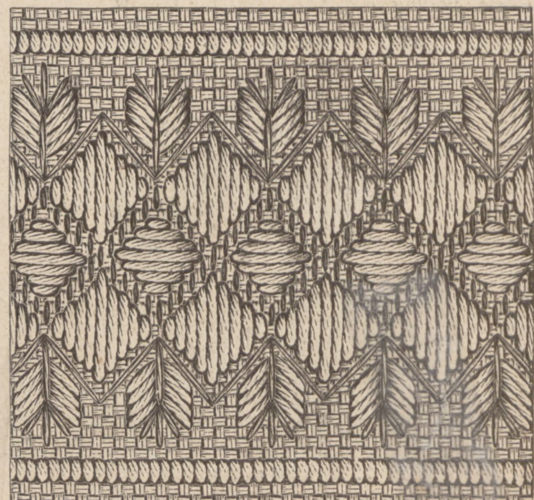
Przy krótkim płaszczyku bez rękawów, peleryna stanowi zarazem plecy, dopełnione częścią plisowaną, której krój wskazuje figura 40; górny brzeg


N. 17. Szlak do serwety ryc. 14 w N-rze 40.


N. 19. Przykrycie na sofę lub krzesło. Haft z aplikacyą. Patrz połowę deseniu na ryc. 26 w N-rze 40.

N. 19. Przykrycie na krzesło lub sofę. Haft z podkładaniem. Deseń patrz rycinę 26 w N. 40.

Efektowny układ deseniu podanego w natural-


N. 18. Szlak do r. 37. Wyszycie na kanwie Jawa



N. 26. Suknia z materyi jedwabnej i tiulu koronkowego. Patrz ryc. 39 i 24 w N. 40. Krój na dodatku N. I, fig. 1—7.

nej wielkości na ryc. 26 w N. 40, z łatwością daje się przerobić na deseń na szlak do portier lub t. p. Na tle z blado-zielonego aksamitu, aplikacya pod haft dana z rozmaitych materyałów jako to: z repsu, atłasu, brokateli, materyi adamaszkowej. Kontury obwiedzione sznureczkiem srebrnym i złotym; wyszycie ściegiem łańcuszkowym, płaskim i sznureczkowemi jedwabiami, bajorkiem srebrnym, złotym i blaszkami, podług r. 26. Haft tego rodzaju można tylko w krosienkach wykończyć równo i dokładnie.

N. 20. Serwetka okrągła. Deseń na dodatku fig. 72.

Szlak brzeżny wyszyty jest na podłożonem suknie grubą hamburgską włóczką, przytrzymywaną luźnemi ściegami. Serwetka liczy 109 cent. średnicy i jest z granatowego sukna, wyciętego z brzegów w zęby. Fig. 72 daje ósmą część deseniu wraz z oznaczeniem ściegów wyszycia, danego na szlaku z ponsowego sukna u góry wyciętym okrągło, u dołu w zęby. Na patki odznaczające się wzdłuż szlaku i na zęby górne nakształt wieżyczek wzięte sukno niebieskie. Do wyszycia użyta włóczka bronzowa, drzewnego koloru, żółta, niebieska i czarna. Brzegi szlaku zdobią kwaściki kolorowe, a patki zakończone frendzlą z wiązanym nagłówkiem.

N. 20. Serweta okrągła. Wyszycie na podłożeniu sukna. Deseń patrz na dod. fig. 72.



N. 21. Środek do kwiatka z piór ryc. 24.

N. 22. Listek do kwiatka z piór ryc. 24.

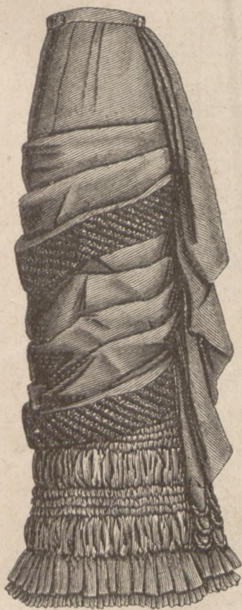


N. 23. Bukiecik kwiatów z piór do kapelusza. Patrz ryc. 21—24.



N. 25. Kosz do papierów. Haft i szlak szydełkowy. Deseń patrz na arkuszu fig. 29—30.

N. 24. Kwiat z piór Patrz ryc. 21—23.



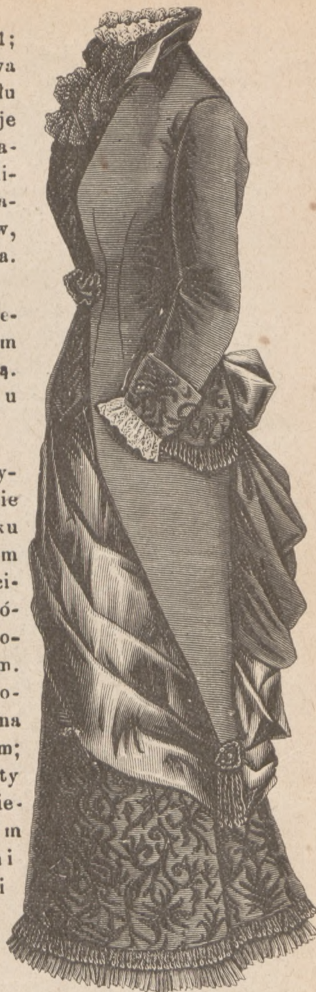
N. 29. Suknia z szalową draperyą.

N. 21—24. Kwiaty z piór do przybrania kapeluszy.

Kwiatek każdy składa się z sześciu listków przymocowanych w około środeczka r. 21; piórko na listek r. 22 zafryzowywa się lekko tylcem noża, u dołu zaś oddzielne części fryzuje mocno do środka, aby zapełniały środek kielicha. Ryc. 23 przedstawia bukiecik kwiatów, ułożony do kapelusza.

N 25. Kosz do papierów zdobny haftem i robotą szydełkową. Deseń na dodatku fig. 29—30.

Każda gałązka wykończa się oddzielnie i naszywa na koszyczku nowego fasonu, plecionym ze słomianej pletni i trzciny, 30 cent. wysokim, w górze 75, w środku 105 obwodu mającym. Gałązki haftowane filozelą na płótnie szarem; liście i kwiaty wyszyte ściegiem płaskim z konturami obwiedzionemi sznureczkiem złotym. Po skończeniu haftu w krosienkach, płótno z lewej strony pociąga się gumą, a po wyschnięciu takowej wycina. Szlaki z hamburgskiej włóczki robione szydełkiem zdobią koszyczek podług ryc. 25 i dopełnione są kulkami.



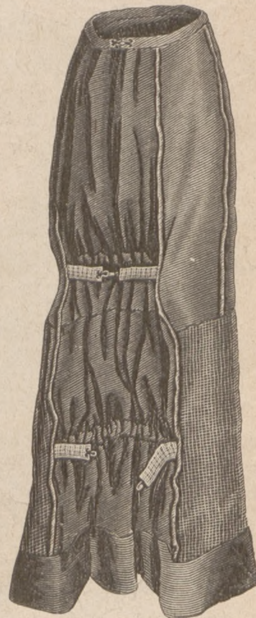
N. 27. Suknia z vêtement i przybraną spódnicą z turniurą. Patrz ryc. 28. Krój na arkuszu N. XII, fig. 67—68.

N. 26 i 39. Suknia z materyi i tiulu koronkowego. Patrz ryc. 24 w N-rze 40. Krój na dodatku N. I, fig. 1-7.

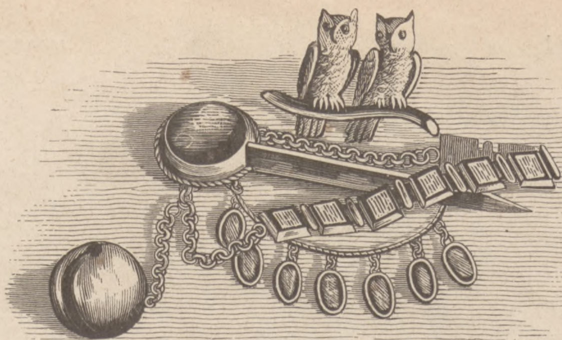
Strojne ubranie przedstawione na ryc. 26 i 39 odrobiono z czarnego atłasu i z hiszpańskiego koronkowego tiulu, z którego ułożona draperya 120 c. szeroka i oszycie przy wolancie 12 cent. szerokie. Ryc. 24 w N. 40 przedstawia plecy takiegoż kostiu-



N. 30. Kwadrat z siatki gipiurowej z wyszyciem kolorowem.



N. 28. Urządzenie turniury przedstawione ze strony spodniej, do sukni ryc. 27.


N. 31—33. Biżuterye fantazyjne.

pniowej szerokości, 13 i 24 cent. szerokiem, niższa marszczona falbanka liczy 17 cent. Upięcie tylne z bryta koronkowego 102 cent. długiego, w jednej połowie podpięte w dwie bufy, w drugiej przemarszczone na 12 cent. wzdłuż a 10 wszerz. Stanik kraje się podług fig. 1—7; baskina przedłużająca boczki kraje się w dalszym ciągu przy przodach; brzeg baskiny zachodzącej na boczki przykrywa rodzaj patek (fig. 7) idących od drugiej zaszewki w przodach, złączonych kokardą na fałdowanej baskinie pleców. Cały stanik pokryty

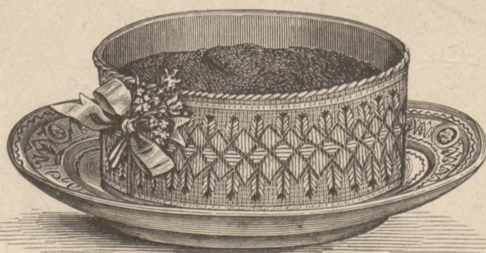

N. 34. Suknia z bluzkowym stanikiem.

mu z materyi czarnej i grenadyny. U dołu spódnicy dane drobniutkie plisowanie 10 cent. szerokie, na które spada wolant 27 cent. szeroki oszyty tiulem koronkowym. Draperya przednia upina się z bryta 120 cent. szerokiego, przedzielonego podług ryc. 26 przemarszczeniem z nagłówkiem sto-


N. 35. Stanik z bawetem.

plecy zaś krajane na długość zwykłego stanika dopełnione są brytem (litera *d* na fig. 67), z jednego boku sfałdowanym podług znaków, z drugiego podpiętym w wielki pukiel. *(D. n.)*

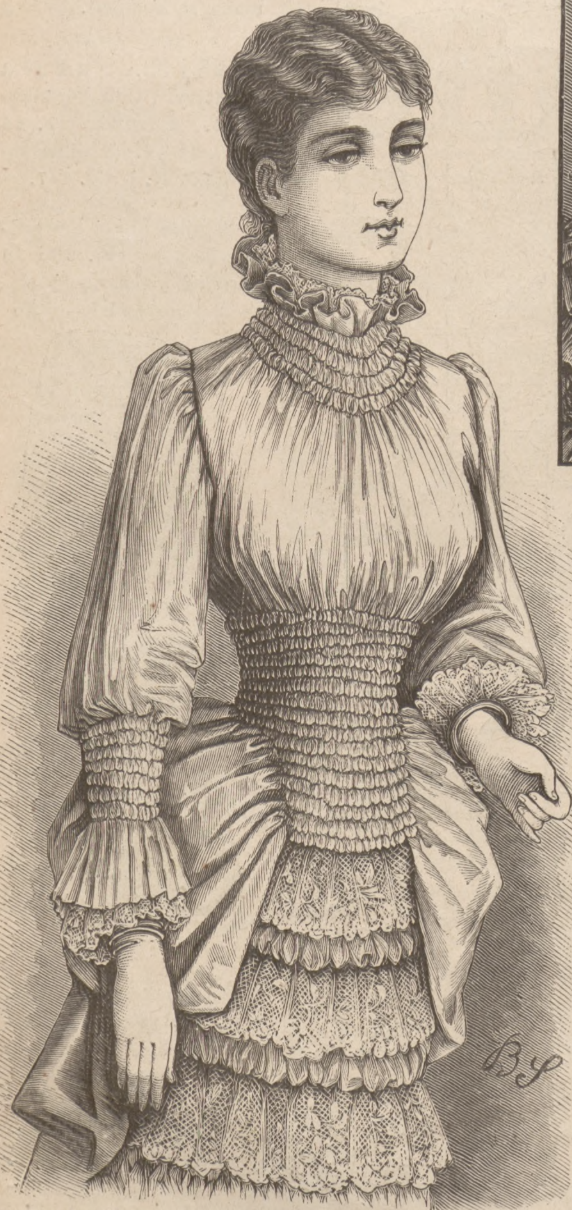

N. 36. Suknia ze stanikiem bawetowym i chusteczką. Patrz r. 6.


N. 37. Pokrycie na foremkę z potrawą. Szlak wyszyty na kanwie Jawa patrz ryc. 18.

tiulem, którego brzeg ogarnirowany koronką, idącą wachlarzowo wzdłuż przodów i odznaczającą kołnierz przy wykroju szyi. Dla osób szczupłych dodaje się na rękawach u góry bufy lekko odstające, jak na ryc. 39, podpięte kokardami z wstążki 5 cent. szerokiej.

N. 27—28. Suknia z vêtement i przybraną spódnicą z turniurą. Krój na arkuszu N. XII, fig. 67—68.

Na suknię przedstawioną z boku na ryc. 27 użyty kaszmir, atłas i aksamit deseniowy. Wskazanie kroju vêtement dajemy w zmniejszeniu na fig. 68; dopasować go trzeba podług formy dobrze leżącego stanika z baskiną. Przody przedłużone w baskinę ściętą do boków śpiczasto,


N. 38. Suknia strojna z przemarszczanem vêtement. Plecy patrz na arkuszu fig. 70.


N. 39. Suknia z materyi i tiulu koronkowego. Patrz r. 26, i ryc. 24 w N. 40. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—7.